

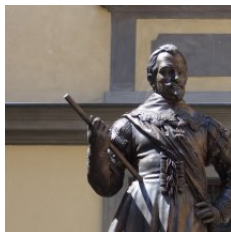


Przystanek Dolny Śląsk

kwartalnik 1(18)/2018 wiosna • ISSN 2353-3056



**WOJNA TRZYDZIESTOLETNIA
EPIDEMIE • ZBRODNIE • LAWINY**



Wiesław Rośkiewicz

Świdnica podczas wojny trzydziestoletniej

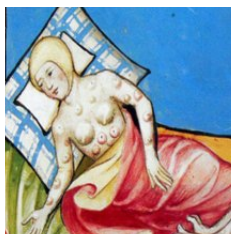
Wyjątkowo okrutne żniwo wojna trzydziestoletnia zebrała na terenie księstwa świdnicko-jaworskiego, gdzie znajdowały się obszary, na których ludność zmniejszyła się o 2/3 w stosunku do okresu przed jej wybuchem, a niektóre wsie wręcz zniknęły z powierzchni ziemi (STR.11)



Iwona Błach

Tabu. Muzeum medycyny i zbrodni

W każdym słoju czy gablocie zamknięta jest nie tylko historia, ale często i... kawałek ludzkiego ciała. Mowa tu o muzeum działającym przy katedrze Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, które służy studentom wydziału medycyny sądowej i kryminalistyki. (STR.35)



Rafał Wietrzyński

Wielkie epidemie w Świebodzicach

Wiek XIII jest określany w literaturze historycznej stuleciem narodzin miast. Do głosu dochodzi wówczas, kosztem rycerstwa, stan mieszczański, który dzięki szeroko pojętemu handlowi, bogaci się. Przybywa majątnych rzemieślników, bankierów, kupców, sukienników. (STR.51)

PRZYSTANEK DOLNY ŚLĄSK KWARTALNIK NR 1(18)/2018 (WIOSNA)

tytuł zarejestrowany w Sądzie Okręgowym
we Wrocławiu Rej. Pr. 3208 ISSN 2353-3056

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

adres redakcji

skrytka pocztowa 2388, 50-131 Wrocław 3

redakcja@przystanekd.pl

Wydawca, Redakcja i Autorzy dokładają wszelkich starań, aby ustalić dysponentów praw autorskich publikowanych materiałów. Osoby, które mogły zostać pominięte proszone są o kontakt z Redakcją.

redaktor naczelny
Wojciech Głodek

współpraca
Joanna Dolna, Jolanta Kluba

wydawca
Instytut Dolnośląski

z siedzibą we Wrocławiu
zarejestrowany 20.03.2014 roku w Sądzie Rejonowym
dla Wrocławia Fabrycznej
VI Wydziale Gospodarczym KRS 0000502837
Regon 022395582 NIP 8982207071

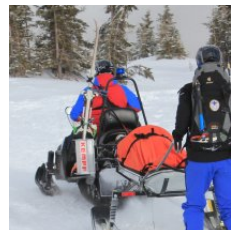
adres wydawcy
skrytka pocztowa 2388, 50-131 Wrocław
biuro@instytutdolnoslaski.org



Wojciech Głodek

Najtragiczniejsza lawina w polskich górach

Jest środa, 20 marca 1968 roku. Pogoda w Karkonoszach jest piękna i słoneczna, ale zaczyna wiać wiatr. Nikt z turystów nie zwraca uwagi na stojące już wtedy tablice z żółto-czarnymi szachownicami. Ostrzegają przed lawinami, jednak wszyscy wiedzą, że Karkonosze to nie Tatry, Karkonosze są bezpieczne.... (STR.65)



Agnieszka Latocha

Świdnica. Fascynujący świat detalu

W wędrówkach na ogół skupiamy się na miejscach wyjątkowych i obiektach spektakularnych. Naszej uwadze umykają natomiast detale, mniejsze budowle przy bocznych uliczkach i w zaułkach, czy architektoniczne szczegóły. A te nierzadko są w stanie opowiedzieć wiele historii i zdradzić niejedną tajemnicę. (STR.81)



W numerze również:

Ivo Łaborewicz, *Jeleniogórskie ślady wojny trzydziestoletniej* (STR.29);

Kamila Płochocka, *O psie, który jeździł koleją po Dolnym Śląsku #1* (STR.100);

Marta Nowicka, *50 lat Muzeum Papiernictwa* (STR.109);

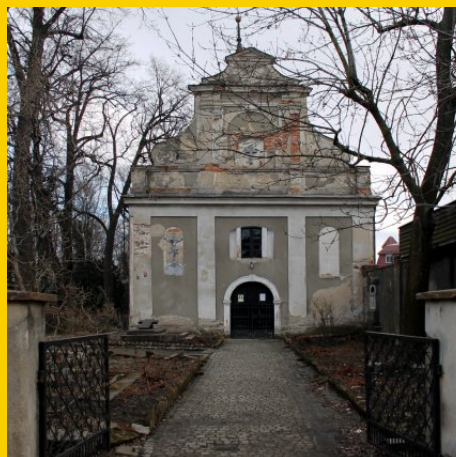
Maciej Ciurla, *Winnica Alvarium* (STR.114);

Smaki Dolnego Śląska (STR.120), *Koleją po Dolnym Śląsku* (STR.122), *Be positive & run* (STR.124), *Instagram@Piotr Weber* (STR.126) oraz Dolnośląska biblioteczka (STR.128).

Redakcja zastrzega prawo adjustacji, skracania i opracowania redakcyjnego nadestanych materiałów. Redakcja nie zwraca nadestanych materiałów. Wydawca zastrzega prawo przedruku w innych wydawnictwach współpracujących. Wydawca i Redakcja nie ponoszą odpowiedzialności za treść reklam. Dozwolone kopiowanie i rozpowszechnianie niezmodyfikowanego wydania kwartalnika na innych stronach www i nośnikach pod warunkiem bezpłatnego dostępu do niego.



fot. na okładce: Wojciech Głodek, 10 marca 2018 roku, kaplica cmentarna w Ząbkowicach Śląskich





Dokładnie 200 lat temu Mary Shelley, druga żona wybitnego angielskiego poety Percy'ego Shelleya, zadebiutowała powieścią "Frankenstein; or, The Modern Prometheus" ("Frankenstein albo Współczesny Prometeusz"), która do dziś jest jej najbardziej znanym dziełem. Jest też na pewno jedną z bardziej rozpoznawalnych powieści grozy, a według niektórych - pierwszą w ogóle powieścią science fiction.

Istnieją pewne przypuszczenia co do związku dzieła Mary Shelley z niemiecką miejscowością Frankenstein, czyli obecnymi Ząbkowicami Śląskimi na Dolnym Śląsku i aferą grabarzy z 1606 roku. Związek ten wykorzystywany jest obecnie w promocji miasta, organizowany jest tu festiwalu grozy i horroru, można też zwiedzić tematyczne muzeum.

O wywołanie panującej w 1606 roku zarazy posądzono ośmioro grabarzy: sześciu mężczyzn i dwie kobiety. Podejrzanych poddano torturom, podczas których przyznali się, że sporządzali trujący proszek ze zwłok. Proszek ten rozsywali w różnych domach, przez

co wielu ludzi zatrulo się i zmarło. Prawdopodobnie jedynym przestępstwem jakie popełniali było okradanie zwłok, jednak oczywiście na torturach przyznali się do jeszcze wielu innych bezceństw i zbrodni, wydali także współników. Ostatecznie w ciągu kilku miesięcy stracono w związku z tą sprawą 17 osób.





Dwa lata później, 15 marca 1608 roku, pastor Heinitz poświęcił po-nownie cmentarną kaplicę św. Mi-kołaja, którą też mieli sprofanować grabarze. Budynek z tamtych czasów jednak nie dotrwał do dziś, obecną budowlę, stojącą przy po-chodzącym z 1552 roku cmentarzu, wzniesiono w 1728 roku i potem

jeszcze przebudowano w 1857 roku. Niestety dzisiejsze otoczenie profa-nuje ją chyba dużo bardziej niż hi-storyczni grabarze. [wg/fot. wg]

PS. Całkiem możliwe, że pierwowzorem dr. Frankensteina jest niemiecki alche-mik Johann Konrad Dippel, który uro-dził się w Odenwaldzie koło Darmstadt na zamku... Frankenstein.





Instytut Dolnośląski

we współpracy z kwartalnikiem **Przystanek Dolny Śląsk**

zaprasza

na II konferencję interdyscyplinarną

Dolnośląskie Tematy

Turystyka na Dolnym Śląsku na przestrzeni dziejów

Podczas konferencji można zaprezentować własny region, przedstawić go pod kątem atrakcyjności turystycznej, ale również inwestycyjnej. Jest to również okazja, by zapoznać szerszą publiczność z np. wynikami realizowanego w gminie lub powiecie projektu bądź sposobem rozwiązania miejscowego problemu. Pokłosiem konferencji będzie publikacja, w której przedstawione w trakcie obrad referaty zostaną ujęte w formie artykułów. Publikacja ukaże się jeszcze w tym roku.

koszt* uczestnictwa w konferencji

obejmuje uczestnictwo, publikację pokonferencyjną,
2 przerwy kawowe, 1 przerwę lunchową

*** liczba uczestników ograniczona: 50 osób**

dla których koszty uczestnictwa finasuje Zarząd Województwa
Dolnośląskiego - 100 zł/os. i Instytut Dolnośląski - 120 zł/os.

220 zł

miejsce konferencji: Jelenia Góra, 19 października 2018

termin zgłoszeń: do 10 czerwca 2018 (decyduje kolejność)

kontakt: konferencja@instytutdolnoslaski.org

więcej informacji: www.instytutdolnoslaski.org



**DOLNY
ŚLĄSK**

Konferencja jest współfinansowana
ze środków budżetu województwa dolnośląskiego.





znajdź więcej

Przystanek Dolny Śląsk
www.przystanekd.pl
blog.przystanekd.pl
bedeker.przystanekd.pl
czytanki.przystanekd.pl
facebook.com/przystanekd
facebook.com/groups/przystanekd
instagram.com/przystanekd
twitter.com/przystanekd

Koleją po Dolnym Śląsku
kolej.przystanekd.pl
kolejapodolnymyslasku.przystanekd.pl
facebook.com/kolejdolnyslask
facebook.com/groups/kolejdolnyslask

Smaki Dolnego Śląska
smaki.przystanekd.pl
smaczki.przystanekd.pl
facebook.com/smakidolnegoslaska



Pomnik Albrechta von Wallensteina
fot. Wiesław Rośkiewicz



ALBRECHT VON WALDSTEIN
HERZOG VON FRIEDLAND



Świdnica podczas wojny trzydziestoletniej

WIESŁAW ROŚKOWICZ

W okresie wojny trzydziestoletniej (1618-1648) w wielu krajach Europy, także na Śląsku, toczyły się działania zbrojne. Wyjątkowo okrutne żniwo wojna zebrała na terenie księstwa świdnicko-jaworskiego, zaś Świdnica zaliczała się do miast, które jej skutkami dotknięte zostały najbardziej.

Po zakończeniu wojny na terenie księstwa znajdowały się obszary, na których ludność zmniejszyła się o 2/3 w stosunku do okresu przed jej wybuchem, a niektóre wsie wręcz zniknęły z powierzchni ziemi (np. Laurichendorf na górze Wawrzyn w pobliżu Bystrzycy Górnej).

Bezpośrednią przyczyną rozpoczęcia wojny była tzw. defenestracja praska. 23 maja 1618 roku protestancy parlamentarzyści czescy wyrzucili przez okno zamku królewskiego w Pradze przedstawicieli katolickiego cesarza Macieja Habsburga, który był także władcą Czech. Sytuacja stopniowo się za-

ostrzała, zwłaszcza po śmierci cesarza Macieja, gdy stany czeskie 26 lipca 1619 roku wybrały na króla Czech protestanta, elektora Palatynatu Reńskiego Fryderyka V. Władca uzyskał również poparcie stanów i książąt śląskich. Po zwycięstwie armii cesarskiej nad wojskami czeskimi 8 listopada 1620 roku w bitwie pod Białą Górą w pobliżu Pragi król Fryderyk opuścił Czechy. Działania zbrojne zaczęły teraz zagrażać Śląskowi.

27 marca 1621 roku do Świdnicy przybył margrabia Johann Georg z Karniowa. Dowodził wojskami stanów śląskich wspierających Czechów.



5 kwietnia margrabia opuścił miasto i udał się na Węgry. Kilka miesięcy później do Świdnicy wkroczyło pięć chorągwi saskich pod dowództwem pułkownika von Schlieben (w tym okresie protestancka Saksonia była sojusznikiem katolickich Habsburgów). Ich obecność nie była mile widziana w mieście, gdyż żołnierze płacili monetami o niskiej zawartości srebra (tak

zwanymi Papphahne) oraz znacznie wzrosły ceny żywności. Wojska saskie przebywały w Świdnicy do 1 grudnia 1621 roku.

Do końca 1622 roku wojska cesarskie spacyfikowały Śląsk. Margrabia Johann Georg z Karniowa musiał rozformować wojska stanów śląskich, po czym zbiegł z kraju. W grudniu 1623 roku na terenie księstwa świdnicko-jaworskiego





Rysunek monety świdnickiej z 1622 roku (24 kracjary). Na sąsiedniej stronie: rycina przedstawiająca defenestrację praską / arch. autora

zakwaterowano 1 000 cesarskich dragonów. Część z nich rozlokowano w Świdnicy. Żołnierze rekwirowali ludności konie i wozy oraz dopuszczali się gwałtów.

W 1625 roku Anglia, Holandia i Dania zawarły przymierze. Wzmocniło ono siły protestanckie i doprowadziło do eskalacji wojny. Księżęta śląscy, aby podolać wydatkom wojennym, rozpoczęli wybijanie niepełnowartościowych monet.

Spowodowało to dewaluację pieniądza i wzrost cen. W tym samym roku na Śląsku, także w Świd-

nicy, wybuchła epidemia. Innym dramatem było kwaterowanie cesarskich żołnierzy w domach mieszczan. Do tego wszystkiego doszła klęska nieurodzaju.

Świdnica w 1626 roku musiała wystawić oddział w sile 80 żołnierzy, został on przydzielony do kompani kapitana von Dönhofa. W ciągu trzynastu miesięcy wydano na jego utrzymanie 10 826 florenów. W 1626 roku naczelny dowódca wojsk cesarskich książę Albrecht von Wallenstein przybył na czele 30 000 żołnierzy na Śląsk.



23 sierpnia dotarł do Świdnicy. Rajcy miejscy postanowili przywitać księcia i wręczyć mu klucze do miasta. Nie przyjął ich, a przy okazji napomniął mieszczan, aby dochowali wierności cesarzowi. Albrecht von Wallenstein zamieszkał w kamienicy „Pod Żłotym Chłopkiem” (Rynek 8). Należała ona do doktora medycyny Henryka Kunica (ojca astronomki Marii Kunic).

W mieście zakwaterowano wyższych rangą dowódców, zaś pozostałych żołnierzy rozlokowano po okolicznych wsiach. Niestety wyządzali w nich wiele szkód, m.in. podpalali domy oraz wypędzali konie i bydło. Z pobylem Wallensteina był związany ciekawy epizod. Podczas dwóch nocy, które spędził w Świdnicy, na Rynku musiała być zachowana bezwzględna cisza, zakazano nawet gwizdania stróżowi nocnemu. Rankiem 25 sierpnia książę wraz z niewielkim oddziałem huzarów opuścił miasto i udał się do Ołomuńca na Morawach. Jego dwudniowy pobyt kosztował miasto 7 241 florenów.

W ostatnim dniu 1626 roku do Świdnicy przybył pułkownik wojsk

cesarskich książę Franz Albrecht von Sachsen-Lauenburg. 7 stycznia 1627 roku zażądał kwater dla żołnierzy. Rada miejska odmówiła, powołując się na pisemne rozporządzenie cesarza Ferdynanda II, w którym miała zapewnienie zwolnienia księstwa świdnicko-jaworskiego od kwaterunku żołnierzy.

Gdy książę zagroził przemocą, rada odwołała się do starosty księstwa Kaspara von Warnsdorfa, ten zaś poparł mieszczan. Ostatecznie stany księstwa świdnicko-jaworskiego musiały się zgodzić na utrzymanie wojsk i uzupełnienie ich wyposażenia. Książę, wraz ze sztabem i kilkoma kompaniami żołnierzy, kwaterował w Świdnicy. Miasto musiało przekazać mu klucze do bram miejskich, wydać dużą ilość broni z arsenału oraz dostarczyć dla wojska mięsa, chleba i innej żywności. Podczas bardzo ostrej zimy w 1627 roku wielu mieszczan i żołnierzy zmarło. Ponadto ci ostatni przywlekli ze sobą zarazę, zwaną „chorobą węgierską”.

Stopniowo odbierano ewangelikom możliwość odprawiania nabożeństw w świdnickich kościołach.



Z nadejściem wiosny z utęsknieniem czekano na wymarsz wojsk cesarskich. Dwudziestotygodniowy ich pobyt na terenie księstwa świdnicko-jaworskiego kosztował 240 tysięcy florenów.

Jakby tego było nie dość, książę zażądał na zjeździe stanów w Świdnicy następnych sum pieniędzy na utrzymanie wojska i jego uzbrojenie. Przekonywanie, że zdobycie ta-

kiej kwoty jest niemożliwe, na nic się zdało. 7 czerwca 1627 roku książę Franz Albrecht von Sachsen-Lauenburg udał się do wojsk Wallensteina w Głubczycach. Pozostawił jednak w Świdnicy część swoich żołnierzy.

Wymarsz wojsk cesarskich wywołał niebywałą radość. Była ona przedwczesna, gdyż książę przygotował „niespodziankę”. Po ośmiu

Wieża ratuszowa w Świdnicy / fot. Wojciech Głodek



Ulica prowadząca ze świdnickiego rynku do miejskiej katedry św. Stanisława i św. Wacława/ fot. Wojciech Głodek





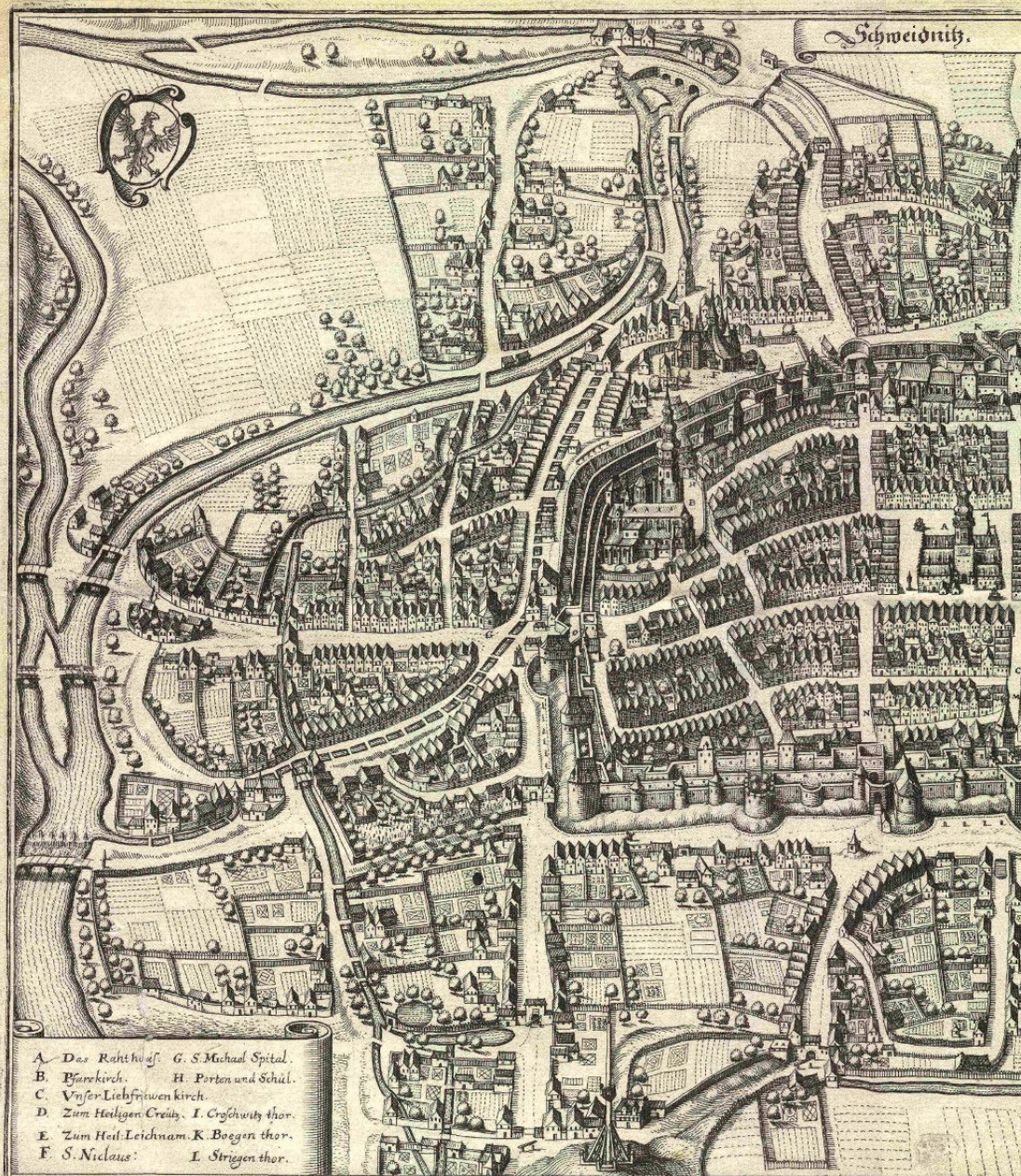
dniach z jego kwatery w pobliżu Nysy przyszedł list, w którym zażądał zapłacenia należnych pieniędzy oraz nowej kontrybucji w wysokości 160 tysięcy florenów.

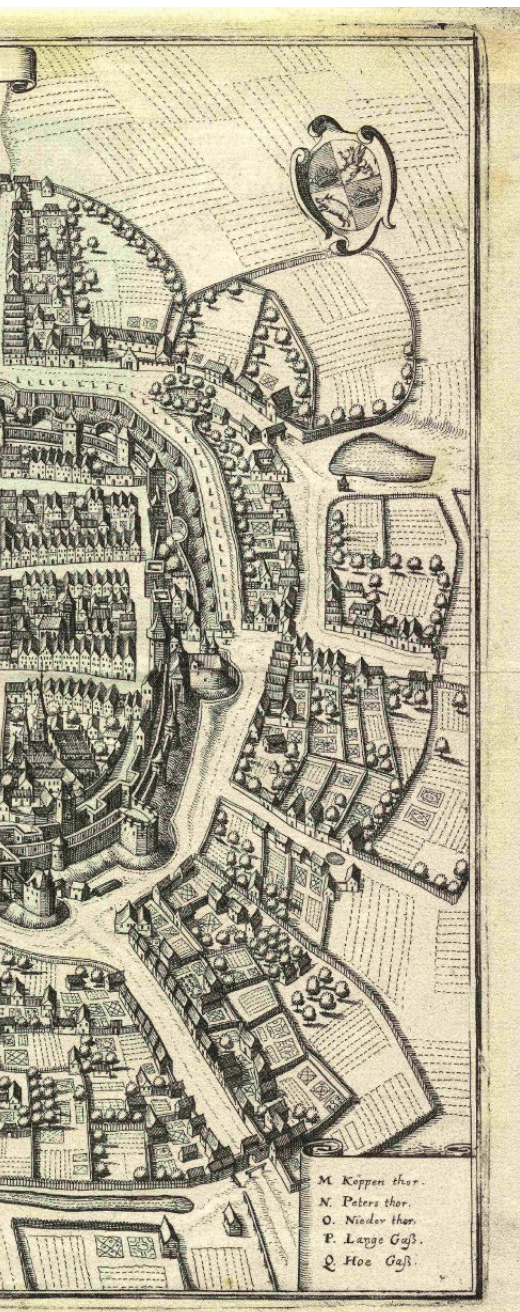
Książę von Sachsen-Lauenburg po odniesieniu ciężkiej rany w bitwie pod Karniowem przybył 29 czerwca 1627 roku do Świdnicy. Wkrótce zawiadomił radę miejską, że swoje ostatnie żądania finansowe skierowane do miasta zmniejszył do 150 tysięcy florenów, lecz suma ta musi być zapłacona w trzech ratach do świąt Bożego Narodzenia 1627 roku. Aby podolać tym obciążeniom mieszczanie oddawali klejnoty oraz przedmioty ze złota i srebra.

Z rozkazu cesarza Albrecht von Wallenstein przystąpił do usunięcia ze Śląska wojsk protestanckich. Przegnanie ich nie poprawiło położenia ludności, gdyż ich miejsce zajęły oddziały cesarskie, które wymagały kontrybucje. W dniach od 9 do 12 sierpnia 1627 roku w Świdnicy i jej okolicach przebywało ok. 15 000 żołnierzy pod dowództwem Wallensteina. Z ich stacjonowaniem wiązały się kolejne dotkliwe obciążenia.

Zapewne od jesieni 1627 roku do końca 1628 roku Świdnica była wolna od kwaterunków żołnierzy. 20 stycznia 1629 roku w mieście zjawili się osławieni dragoni Lichtensteina. Władze cesarskie wykorzystywały ich do „zachęcania” ewangelików do powrotu na katolicyzm. Przeprowadzano to kwatrując dragonów w domach protestantów, gdzie mogli zabawiać się do woli. Dopiero gdy właściciel domu przyniósł kartkę potwierdzającą spowiedź, był uwalniany od kwatrunku. W Świdnicy zaświadczenie o odbytej spowiedzi wydawali dominikanie. Nawet burmistrz miasta Erasmus Junge nie uchronił się przed kwatrukiem. Dragoni opuścili Świdnicę w styczniu 1630 roku. Jeszcze przed ich odejściem do miasta przybyli jezuici, by kontynuować dzieło rekatalizacji.

20 lipca 1629 roku starosta księstwa świdnicko-jaworskiego Henryk von Bibran wyznaczył nową, złożoną z katolików radę miejską. Nakazała ona ewangelickim duchownym opuszczenie miasta. Tylko nieliczni protestanci pozostali na stanowiskach we władzach





miasta i wynikało to jedynie ze zbyt małej liczby katolików mogących podolać temu zadaniu. Rada miejska zabroniła mieszkańcom uczęszczania na nabożeństwa ewangelickie odprawiane w okolicznych wsiach oraz zarządziła, aby dzieci z rodzin protestanckich oddano do nauki jezuitom.

W następstwie powtarzających się petycji cesarz Ferdynand II zgodził się 3 sierpnia 1630 roku zwolnić księstwo świdnicko-jaworskie od wszelkich kwaterunków. Nastąpiło to w okresie, gdy doszło do dalszej eskalacji wojny spowodowanej włączeniem się do niej Szwedów. Pod wpływem zwycięstw króla szwedzkiego Gustawa Adolfa elektor saski i brandenburski przeszli na stronę szwedzką. Wojska saskie oraz brandenburskie otrzymały polecenie opanowania Śląska.

10 września 1632 roku do Świdnicy wkroczyły oddziały sasko-brandenburskie. Utrzymanie ich kosztowało miasto bardzo dużo, jednak mieszczanie godzili się na

Mapa Świdnicy z około 1650 roku
/ze zbiorów Muzeum Dawnego Kupiectwa



to chętnie, ponieważ w kościele parafialnym znowu mogły odbywać się nabożeństwa protestanckie. Otwarto również ewangelicką szkołę łacińską. Po przybyciu wojsk protestanckich wygnano jezuitów oraz katolickiego proboszcza, powrócili natomiast ewangelicki pastor oraz nauczyciele.

W 1632 roku w mieście wybuchła zaraza. 7 października karczmarze zwrócili się do rady miejskiej z prośbą o wydanie zakazu opuszczania domów przez ludzi chorych oraz ich przychodzenia na targ. Próbowano w ten sposób ograniczyć rozszerzanie się epidemii.

17 lutego i 18 maja 1633 roku w Świdnicy doszło do pożarów. Spowodowały one napływ do miasta dużej liczby uciekinierów ze spalonego południowego przedmieścia oraz okolicznych wsi.

W 1633 roku prawie cały Śląsk został zajęty przez wojska katolickie, natomiast Świdnica nadal była w rękach protestantów. 14 czerwca protestancka załoga w mieście została wzmocniona przez regiment Szwedów. W tym okresie z powodu braku wystarczającej ilości kwater

wykorzystano do zamieszkania nawet najbardziej nieodpowiednie miejsca.

4 lipca 1633 roku cesarska armia pod dowództwem Wallensteina otoczyła Świdnicę. Stanęła obozem we wsiach: Niegoszów, Wilków, Pszenno, Jagodnik i Boleścin. Wielu mieszkańców podświdnickich miejscowości uciekło przed żołnierzami do miasta. Obroną Świdnicy kierował podpułkownik Schönfeld. Aby utrudnić oblężenie podpalono kilkaset budynków na przedmieściach. W czasie pożarów uszkodzeniu uległy m.in. kościół pw. św. Mikołaja oraz pw. św. Michała. Szczęśliwie udało się uniknąć wielkiego nieszczęścia, jakim mogła być eksplozja 10 000 kg prochu zgazynowanego na Rynku.

6 lipca 1633 roku pod Świdnicę podeszła, dla wsparcia jej obrońców, szwedzko-sasko-brandenburska armia. Rozłożyła się obozem w pobliżu Starego Jaworowa, Boleśławic, Zawiszowa i Sulisławic oraz oszańcowała wzgórze w pobliżu Wierzbnej. Do bitwy jednak nie doszło, wręcz przeciwnie, ogłoszono zawieszenie broni na cztery tygo-

Rycina przedstawiająca próbę zdobycia Świdnicy
przez pułkownika Klinkowskiego / arch. autora



Schweidnitz am 6^{ten} Jan. 1635.

Epitafium Wilhelma von Oberg, kanclerza księstwa świdnicko-jaworskiego w okresie wojny trzydziestoletniej / fot. Wiesław Rośkowicz





dnie. 20 sierpnia, podczas jego ratyfikacji, na tzw. zielonym polu pomiędzy Pszennem i Świdnicą, śmiertelnie ranny został następca tronu duńskiego książę Ulrich (był dowódcą jednego z regimentów wojsk protestanckich). Księcia przewieziono do Świdnicy, gdzie najbliższej nocy zmarł.

Podczas oblężenia z wielu budynków zdjęto z dachu gonty, miało to utrudnić rozprzestrzenianie się pożarów. Niestety jednak w tym okresie wystąpiły ciągle ulew, które niszczyły mieszkania. Dodatkowo wkrótce zaczęło brakować żywności i zapanował głód. W następstwie tego wybuchła straszna zaraza. Do 1 stycznia 1634 roku umarło na nią, nie licząc żołnierzy, około 16-17 tysięcy osób. Niejednokrotnie dziennie umierało 200-300 ludzi. Zaczęło brakować grabarzy i nie można było nadążyć z usuwaniem zwłok, które leżały na ulicach nieopogrzebane.

Bogaci mieszkańcy oferowali ogromne sumy, aby zapewnić sobie godny pochówek. Niejednokrotnie zajmowali się nim żołnierze. Z surowych desek zbijali trumny

i sprzedawali je po 30-50 dukatów. Często zwłoki wyrzucano do fos, a trumny sprzedawano ponownie. W mieście pojawiły się sfory bezpańskich psów, pożerających nieopogrzebane szczątki ludzkie. Niektóre ulice były zupełnie wymarłe. W związku z epidemią żołnierze zeszli z murów obronnych i obozowali w namiotach na łąkach pod Świdnicą. 26 września 1633 r. wojska protestanckie odeszły spod miasta, następnego dnia rozkazał to uczynić również Wallenstein.

Świdniczanie, aby chronić się przed bandami plądrujących żołnierzy, uzbroili się i strzegli miasta. Przezorność ta przydała się rankiem 6 stycznia 1635 roku, kiedy to pułkownik Klinkowski próbował zdobyć Świdnicę. W nocy ukrył żołnierzy w piwnicach spalonych domów i planował wtargnąć do miasta w momencie przejazdu furmanki z sianem przez Bramę Dolną. Na szczęście świdniczanie czuwali, otworzyli ogień do napastników i szybko podnieśli zwodzony most.

W 1635 roku cesarz Ferdynand II Habsburg zawarł w Pradze pokój z Brandenburgią i Saksonią.



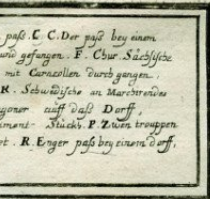
Ewangelicy liczyli, że otrzymają wolność religijną, tak się jednak nie stało. Nadzieja na szybkie zakończenie wojny nie spełniła się. W Świdnicy przekazano jezuitom kościół parafialny (obecna katedra). Ewangelickich duchownych wygnano z miasta. Przez pewien czas mieszczenie uczęszczali na nabożeństwa do ewangelickich kościołów w Witoszowie i Pszennie, ale i to zostało im zakazane.

W latach 1635-1637 świdniczanie ponosili świadczenia na rzecz wojsk przechodzących przez miasto. Jednak szczęśliwie przez następnych kilka lat wydarzenia wojenne omijały je.

31 maja 1642 roku pod Świdnicę podeszła armia szwedzka pod dowództwem generała Lennarta Torstensona. W mieście stacjonowały wówczas dwie kompanie żołnierzy cesarskich pod dowództwem pułkownika Bourré, dwie dalsze wystawili mieszczenie. Na wieść o wojskach szwedzkich oddziały cesarskie pod dowództwem księcia



Bitwa pod Marcinowicami i Szczepanowem
/ze zbiorów Muzeum Dawnego Kupiectwa





Franza Albrechta von Lauenburga udały się z obozu pod Wrocławiem w kierunku Świdnicy. Wódz szwedzki wyszedł im naprzeciw i pomiędzy Marcinowicami i Szczepanowem doszło jeszcze tego samego dnia do bitwy.

Zwyciężyli Szwedzi. Ciężko ranny książę von Lauenburg trafił do niewoli i został przewieziony do Świdnicy, gdzie zmarł. 1 czerwca Torstenson ponowił oblężenie. Rozpoczęto ostrzał z wielu kierunków i wkrótce uszkodzono mur przy Bramie Dolnej. Przy powstałym wyłomie stanęli uzbrojeni mieszkańcy i oczekiwali na szturm.

3 czerwca biciem w werble zawiadomiono Szwedów, że pułkownik Bourré jest gotowy do rokowań. Gdy w obozie szwedzkim omawiano warunki poddania, mieszkańcy na krótko odeszli od wyłomu. Wykorzystali to żołnierze szwedzcy, którzy przez niego przedostali się do Świdnicy i otworzyli bramy miejskie. Rozpoczęto plądrowanie

mieszkań. Dalszy opór stał się daremny i miasto zostało zdobyte.

W Świdnicy stacjonowała teraz załoga szwedzka. Jeden z komendantów miasta zażądał, aby mieszkańcy zobowiązali się pod przysięgą do udzielania pomocy wojskom szwedzkim. Rada miejska nie zgodziła się, co spowodowało



Herb Albrechta Vejkarta Kapouna von Svojkowa ze zbiorów Muzeum Dawnego Kupiectwa. Pułkownik Albrecht Vejkart Kapoun von Svojkow za okazane męstwo podczas wojny trzydziestoletniej, w tym podczas oblężenia Świdnicy, otrzymał tytuł barona.



pogorszenie traktowania świdniczan przez żołnierzy. Aby podnieść obronność miasta pułkownik Seestädt, kolejny jego komendant, nakazał odbudowanie uszkodzonych odcinków murów oraz wzniesienie szańca przed Bramą Kapturową.

W listopadzie 1643 roku wojska cesarskie pod dowództwem pułkowników Kapouna i Tappa rozpoczęły oblężenie Świdnicy, które trwało pół roku. Niestety, mieszkańcy na czas nie zdążyli się zaopatrzyć w żywność i drewno. W okolicy Świąt Bożego Narodzenia zjezdżono już prawie całą żywność i oddawano za nią najcenniejsze mienie. Szwedzki komendant nie godził się na uszczuplenie zapasów wojskowych. Niewielką ilość zboża znajdującą się w ratuszu mielono i sprzedawano za wysoką cenę. Mąkę na chleb mieszano z otrębami, plewami oraz krwią bydłą lub końską. Z braku innego mięsa, również psy, koty i konie stały się specjalami, a około Zielonych Świąt 1644 roku zabrakło i tych zwierząt.

Szwedzki dowódca miał nadzieję, że ograniczając liczbę mieszkańców przedłuży czas obrony. Otwo-

rzył bramy miejskie i kilkaset osób opuściło Świdnicę. Żołnierze wykorzystali to natychmiast, włamali się do opuszczonych domów, rozbierali je i sprzedawali pozyskane drewno. Niedługo miasto stało się rumowiskiem. Generał Torstenson polecił jak najdłużej bronić Świdnicy i ostatecznie kapitulować na honorowych warunkach.

W końcu nadszedł ten dzień. Podczas pertraktacji zezwolono jedynie na odejście dowódcy i niższym rangą oficerom, pozostali żołnierze mieli zostać wcieleni do armii cesarskiej. Wkroczyła ona do miasta 17 maja 1644 roku. Według jednego z kronikarzy w Świdnicy po zakończeniu wojny znajdowało się jedynie 118 nędznych domów, w których mieszkało 200 zubożałych mieszczan. Odbudowa miasta postępowała bardzo powoli i Świdnica już nigdy nie odzyskała dawnego znaczenia na Śląsku. [.]

Autor urodził się w Świdnicy, gdzie pracuje i od ponad 30 lat jest dyrektorem Muzeum Dawnego Kupiectwa. Szczególnie interesuje się historią Świdnicy i jej zabytkami. Przez wiele lat był redaktorem prowadzącym "Rocznik Świdnicki".





Jeleniogórskie ślady wojny trzydziestoletniej

IVO ŁABOREWICZ

Pierwszym zwiastunem toczącej się w Europie od 1618 roku wojny stał się w Kotlinie Jeleniogórskiej przemarsz oddziału polskich lisowczyków w listopadzie 1622 roku, wzbudzających powszechny strach wśród mieszkańców.

Jeźdźcy ci, zwani kozakami, złupili tutejsze miejscowości w odwecie za napady na pojedynczych żołnierzy. Do największych starć doszło w Kowarach, gdzie wojsko ograło miasto i okoliczne wsie, zmuszając wielu ludzi do ucieczki i ukrycia się w górach. Stało się to początkiem lokowania w Karkonoszach czasowych siedzib ludzkich, z których część przekształciła się w stałe osiedla.

Kilka z nich, w formie samodzielnej lub części innych miejscowości, funkcjonuje do dziś, jak choćby Borowice (Baberhäuser),

Karpacz Górny (Brückenberg), Michałowice (Dreimartinsdorf), Marysin (Mariental) – część Szklarskiej Poręby. Część już nie istnieje, jak Budniki (Forstbauden), czy tzw. Górne i Dolne Miasteczko (Ober- und Niederstädtel) na północnym zboczu Kowarskiego Grzbietu. Według legendy lisowczycy podobno oblegali też samą Jelenią Górę, lecz odступili od niej.

Ponownie wojna zawitała tutaj dopiero w 1627 roku w postaci czterech kompanii jazdy i jednej pieszej oddziałów księcia saskiego. Przez 32 tygodnie Jelenia Góra

Barokowy wystrój gotyckiej bazyliki mniejszej św. św. Erazma i Pankracego w Jeleniej Górze / fot. Sławomir Ślusarczyk



musiała zapewnić im kwaterunek i wyżywienie.

W 1629 roku weszły zaś tu oddziały cesarskie, również wymuszające pieniądze na swoje utrzymanie. W 1632 roku z kolei wkroczyła do miasta konnica saska, lecz dowodzący nią pułkownik Weissbach szybko się wycofał, gdy w okolicy wybuchła zaraza. Jednak kiedy okazała się ona niegroźna, wojsko powróciło, pozostając w Jeleniej Górze przez 10 tygodni. Na wyżywienie żołnierzy nawet biedniejsi mieszkańcy musieli wpłacić od 20 do 40 talarów.

W 1633 roku miasto zajęły oddziały cesarskie, nakładając na nie kontrybucję w wysokości 40 tys. talarów jako karę za „przyjęcie” rok wcześniej obcych wojsk. Rozwinęła się też wówczas ponownie zaraza, w wyniku której zmarło blisko 2600 osób.

Tragiczny dla Jeleniej Góry okazał się rok 1634. Najpierw wtargnęły doń cesarskie oddziały generała Colloredo, a ich utrzymanie kosztowało mieszczan przeszło 18 tys. ta-

larów. 20 lipca wkroczyło do miasta przeszło 2000 żołdaków, prawdopodobnie maruderów, rabujących wszystko, co wpadło im w ręce. Zaproszyli oni ogień, a w wyniku wybuchu wielkiego pożaru nie ostał się podobno ani jeden cały budynek. Pomimo to nie ustawały kolejne przemarsze różnych oddziałów, wiążące się nieodłącznie z uciążliwościami, a przede wszystkim kontrybucjami.

W lipcu 1640 roku, obsadzoną przez Szwedów Jelenią Górę, obległy oddziały cesarskie pod dowództwem generała von Golza. Doszło do ciężkiego ostrzału, który doprowadził do poważnych uszkodzeń murów miejskich oraz pospiesznie i pobieżnie odbudowanych po pożarze kamienic. Załoga i mieszczaństwo bronili się jednak dzielnie, a wojska cesarskie musiały odstąpić od oblężenia, zagrożone przez Szwedów operujących w okolicach Lwówka Śląskiego.

Powróciły jednak we wrześniu i ponownie, tym razem aż do listopada, oblegały miasto. Złupione

Barokowa bazylika mniejsza św. św. Erazma i Pankracego w Jeleniej Górze widziana od strony głównego wejścia / fot. Sławomir Ślusarczyk



NABOŻEŃSTWO DO M.
JEZU UFAJ
III PIĄTEK MIESIĄCA





i całkowicie spalone zostały niemal wszystkie okoliczne miejscowości. Od kul armatnich ponownie dotkliwie ucierpiała także Jelenia Góra. Pod jej mury podkładano miny, a pociski wywoływały kolejne pożary. W listopadzie, pokonawszy oddziały cesarskie, z odsieczą przybył szwedzki generał Stahlbartsch. Jednak w obliczu olbrzymich zniszczeń utrzymywanie w mieście załogi stało się bezcelowe. Wraz z wycofującą się armią szwedzką Jelenią Górę opuścili niemal wszyscy pozostali przy życiu mieszkańcy – zaledwie 60 rodzin. Pozostało jedynie 8 rodzin katolickich.

Walki 1640 roku stanowiły straszliwy, jednak ostatni w Kotlinie Jeleniogórskiej akt tej krwawej wojny, zakończonej ostatecznie w 1648 roku. Do miasta i okolicznych wsi zaczęli wracać ocalali mieszkańcy. Stopniowo podjęli trud odbudowy.

Do dziś dnia nie przetrwały ślady wojny trzydziestoletniej. Zniszczone mury miejskie, świątynie,

kamienice i urządzenia gospodarcze odbudowano lub na ich miejscu postawiono nowe obiekty. Pozostała pamięć oraz długo funkcjonujące nazwy, kojarzone z wojną. Należało do nich miano północno-zachodnich wzgórz miejskich, zwanych przez długi czas Szwedzkimi Szańcami. Po 1945 roku przebiegającą tu ulicę ochrzczono mianem ulicy Okopowej. Natomiast na wschodniej, zewnętrznej ścianie kościoła parafialnego pw. św. św. Erazma i Pankracego do dziś znajduje się płyta nagrobna Elżbiety Stake (ur. 15.08.1646, zm. 25.01.1647 r.), córki majora wojsk szwedzkich, komendanta miasta podczas wojny, Johanna Stake i jego żony Elżbiety Oxehuf. [•]

Autor jest historykiem, archiwistą, kierownikiem Archiwum Państwowego we Wrocławiu Oddział w Jeleniej Górze, prezesem Towarzystwa Przyjaciół Jeleniej Góry. Napisał kilkanaście książek i kilkaset artykułów poświęconych głównie dziejom Jeleniej Góry, Karkonoszy i Dolnego Śląska.

Płyta nagrobna ELŻBIETY Stake na zewnętrznej ścianie bazyliki mniejszej św. św. Erazma i Pankracego w Jeleniej Górze / fot. archiwum UM Jelenia Góra

Ukryty za drzewami budynek wrocławskiej
Katedry Medycyny Sądowej / fot. Iwona Błach





Tabu

Muzeum medycyny i zbrodni

IWONA BŁACH

Jest we Wrocławiu miejsce niesamowite, tajemne jak pracownia alchemika. Wejściu i oglądaniu zbiorów towarzyszy dreszcz emocji. Miejsce, o którego istnieniu mało kto "spoza branży" ma pojęcie.

Mowa o muzeum działającym przy katedrze Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu. Zamknięte dla ludzi "z ulicy" stanowi swego rodzaju tabu.

Obecnie placówka jest zapleczem dydaktycznym dla studentów wydziału medycyny sądowej i kryminalistyki i tylko dla nich jest dostępna, jednak w niedalekiej przyszłości sytuacja w tym zakresie powinna ulec zmianie.

Największe tego typu zbiory w kraju mieszczą się w jednym pomieszczeniu. Przed 1945 rokiem zajmowały trzy takie sale, po II wojnie światowej uległy częściowemu rozproszaniu.

Stosunkowo niewielki, dobrze doświetlony pokój z antresolą, piękna, ciemna boazeria, wokół i pośrodku przeszklone gabloty z eksponatami tworzą niepowtarzalną atmosferę: zadziwienia, zamyślenia, skupienia. Przyznam, że nie wiem, co zrobiło na mnie większe wrażenie: zawartość szaf czy wiedza i zaangażowanie profesora Dobosza. Wiem, że mogłabym tutaj spędzić wiele godzin, słuchając i patrząc.

Wychodziłam z muzeum niedosytem, z dziesiątkami pytań, które do tej pory przychodzą mi do głowy. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś uda mi się tutaj wrócić, aby uzyskać odpowiedzi...



Zgromadzone tu przedmioty pozostały po działającym w tym miejscu do 1945 roku przedwojennym Institut für Gerichtliche Medizin und Naturwissenschaftliche Kriminalistik – dzisiaj takie zbiory nie mogłyby powstać ze względu na kwestie prawne oraz zdecydowane veto ze strony obrońców praw pacjenta i etyków. Na szczęście dla spadkobierców instytutu – medycyna początków XX wieku była jednym wielkim obszarem doświadczeń, badano i dokumentowano wszystko – od choroby, wypadku, samobójstwa po zbrodnię, a wojna nie zdołała zniszczyć wszystkiego.

Prawdopodobnie – jeśli chodzi o kryminalistykę – jej początki sięgają znacznie wcześniej: w czasie, kiedy na mocy ordynacji miejskiej podpisanej w 1808 roku przez króla Fryderyka Wilhelma III utworzono we Wrocławiu prezydium policji z prawdziwego zdarzenia, rozpoczęła się w kryminalistyce nowa era. Przedtem o porządek dbali żandarmi i strażnicy miejscy, rekrutowani przeważnie spośród weteranów wojennych. Ci byli „gotowym produktem”, wyszkoleni i uzbrojeni...

Wprawdzie funkcjonariuszy policji nie było wielu, ba, wręcz przeciwnie – niewielu, ale działali już nieco inaczej. Zaczęło się profesjonalne zabezpieczanie, zbieranie, preparowanie i katalogowanie dowodów.

Zachowane w muzeum ekspozyty pochodzią z lat 1908-1945. Czy istniały wcześniejsze? Zapewne, jednak dziś mamy tylko te. Wspominał przygotowane przez dawnych laborantów, wspominał zachowane. Diapozytywy, dokumenty, narzędzia zbrodni, mumie, słoje z tkaninami... Zadziwia precyzja ich wykonania, stopień zachowania.

Zadziwia też obszerność tematów: w słojach znajdują się wypreparowane fragmenty ludzkich płuc. Jest to zbiór wyjątkowej wartości, absolutnie unikalny, jedyny taki na świecie wycinki w słojach pochodzą z płuc żołnierzy – ofiar zatrucia gazami bojowymi na polach walki I wojny światowej.

Profesor Dobosz, zwracając moją uwagę na ten fragment kolekcji, wspomina, że w trakcie konserwacji jednego z preparatów cieczech, w którym był zanurzony, przysnęła mu na odsłoniętą skórę dłoni i wy-

wołała dotkliwe poparzenie. W innych słojach znajdują się ludzkie serca, kawałki jelit, wypreparowane mięśnie, fragment mózgu, który przypomina mi... ćwiartkę selera (ciemna plama to ślad po kuli) czy żołądek. Oglądam preparaty – są sztuką same w sobie: nie wiem, na ile świadomie, na ile przypadkiem... Przedwojenni laboranci zadbali nie tylko o to, by dokładnie pokazać, co trzeba, ale i o ich estetykę.

W każdym ze słoików zamknięty jest nie tylko kawałek ludzkiego ciała, ale i jakaś historia. Czasem prozaiczna, jak wypadek komunikacyjny, czasem – wielki dramat, który kiedyś się rozegrał. Z każdym z eksponatów związana jest ogromna porcja wiedzy, bezcennej dla studenta, nauczyciela, dokumentalisty, pisarza. Wiedza ta jest w pewien sposób anonimowa, bo przedstawia jedynie skutek, np.



Wypreparowane ludzkie serca
fot. Iwona Błach

postrzału, jak na zdjęciu poniżej: dziura po pocisku i drobinki prochu w skórze.

Etykieta na słoju zawiera opis zawartości, datę sporządzenia preparatu, ale nie pozwala połączyć go z konkretną sprawą, nie znamy historii tego postrzału, okoliczności śmierci tamtego człowieka.

Broń palna była na początku XX wieku – ze względu na dostępność – dość częstym narzędziem zbrod-

ni. Wśród eksponatów jest czaszka z kulą, która utkwiała w kości od wewnątrz.

Jedna z wolno stojących gablot zawiera bryłę, kształtem przypominającą ludzkie ciało bez głowy, fakturą i kolorem – szary, niewypolerowany kamień. Profesor objaśnia, że to tłuszczowosk, datowany na drugą – trzecią dekadę XX wieku, efekt utrwalającej przemiany pośmiertnej. Jest to eksponat wyjątk-



Dziura po pocisku w skórze
fot. Iwona Błach

kowo cenny, również i dlatego, że może stanowić materiał porównawczy do ekspertyz: kiedyś na jego podstawie rozstrzygnięto, czy zabezpieczone w Gdańsku mydło było wyprodukowane z ludzi. – Dziś ludzie inaczej się odżywiają – mówił profesor – ich ciało, tłuszcz, różni się składem chemicznym od ciał z lat czterdziestych. Możliwość porównania z naszą próbką rozstrzygnęła sprawę bezspornie.

Gabloty na środku pokoju zawierają mumie – fragmenty zwłok, ciała ludzkich płodów, głowę samobójcy, który powiesił się i jego zwłoki w miarę rozkładu uległy dekapitacji. To również pozostałości po Institut für Gerichtliche Medizin und Naturwissenschaftliche Kriminalistik. Zdumiewające, jak w pewnych warunkach zostaje zachowane ciało, jak wiele może z niego wyczytać specjalista.



Wypreparowany ludzki żołądek
fot. Iwona Błach



Morderstwa, samobójstwa, wypadki. Słoje. Przedmioty. Świadczenia zdarzeń niezależnych i spowodowanych przez ludzi: fotografie, jak ta ze szklanej płytki – bieżnik opony odcisnięty na skórze ofiary wypadku komunikacyjnego; zanurzona w formalinie krtań mężczyzny, którego bawiące się dzieci uderzyły piłką, i wtedy palona przez niego fajka wbiła mu się w krtań, a śmierć nastąpiła z powodu... za-

trucia nikotyną, którą pochłaniał bez przerwy, przy każdym oddechu; serce, pęknięte od pechowego uderzenia końskim kopytem. Dłoń człowieka, porażonego prądem – tutaj wiadomo, z jakim wydarzeniem wiąże się eksponat: złodziej kradł kable pod napięciem i skończyło się to dla niego śmiertelnym porażeniem.

Czy to z tym słojem wiąże się jeden ze szkiców sytuacyjnych, wi-



Zmumfikowane ciała ludzkich płodów
fot. Iwona Błach

doczny na uratowanych przez profesora Dobosza szklanych przeźroczach? Szklane płytki z przeźrocza mi są niesamowite. To kolejny zbiór unikalnych przedmiotów w muzeum. W ich posiadanie placówka weszła cudem: w latach 80. XX wieku profesor Dobosz zobaczył wynoszone na śmietnik pudła, w których znajdowały się utrwalone na szkłe fotogramy ze spraw kryminalnych w Breslau, sprzed około stu

lat (najstarszy z nich pochodzi z 1900 roku).

Udało mu się uratować ponad tysiąc płytek (niestety, część zastał już w postaci stłuczki). To osobna, ciekawa historia, która być może znajdzie kontynuację w którymś z kolejnych numerów naszego kwartalnika.

Na płytkach znajduje się dokumentacja z miejsc zbrodni, takie, jak na następnej stronie szkice



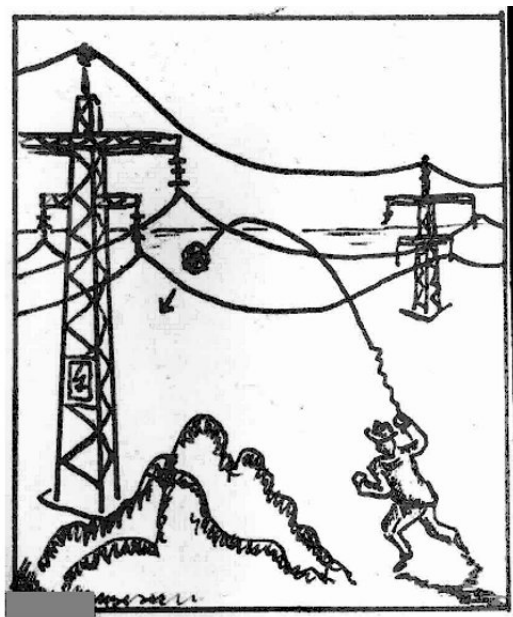
Głowa samobójcy, który się powiesił
fot. Iwona Błach



sytuacyjne, zdjęcia narzędzi zbrodni, urządzenia techniczne, a nawet... projekt pierwszej prawdopodobnie komory gazowej: instalacje do produkcji tlenu węgla i zapis reakcji chemicznych tego procesu. Czarnobiałe przeźrocza odkrywają przed nami zagadki i tajemnice Breslau z początków XX wieku i rodzą kolejne pytania.

Miasto okazuje się mieć za sobą wiele bardzo mrocznych epizodów,

nic dziwnego, że w latach 20-40. XX wieku oddelegowani tutaj funkcjonariusze i urzędnicy traktowali je jako miejsce "zsyłki". Był to bardzo trudny teren, choć dawał niesamowite pole do działania. Wśród zdjęć rozpoznaję te z głośnej sprawy Karla Denke. Cała seria. Widzę dokumentację z oględzin i z sekcji zwłok, fotografie sfalszowanych dokumentów, próbki pisma. Fotografie z miejsc zbrodni i z wypad-



Dokumentacja miejsc i zbrodni na szklanych płytach w Katedrze Medycyny Sądowej

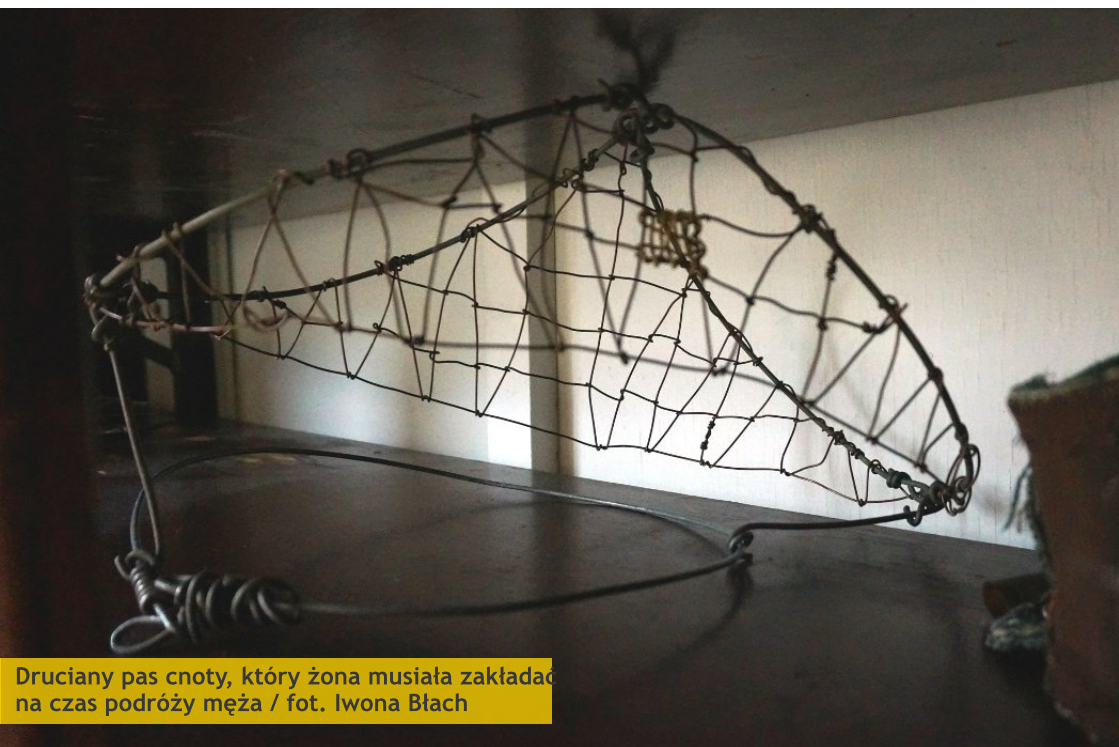
ków komunikacyjnych. I znowu przy niektórych zdjęciach pojawiają się pytania.

Przyglądam się rzeczy na pozór zwyczajnej... Na pozór, bo jest to bardzo cenna kartoteka policyjna anonimowej dziś kobiety (nie wiadomo – papier się ukruszył czy celowo oderwano róg z jej nazwiskiem?). Kartotekę sporządzono w 1910 roku, a jej główna wartość polega na szczegółowości (określo-

no – posługując się odpowiednią skalą – nawet odcień skóry!).

Podobno jest to pierwsza kartoteka wykonana wg standardów Alphonse Bertillona, który oparł identyfikowanie przestępców na pomiarach antropometrycznych.

Muzeum dysponuje także grupą eksponatów związanych z dewiacjami i przestępstwami na tle seksualnym: są to m.in. innymi fetysze – przedmioty zabierane ofiarom



Druciany pas cnoty, który żona musiała zakładać na czas podróży męża / fot. Iwona Błach



Karabin Mauser 98k z okresu II wojny światowej / fot. Iwona Błach



"na pamiątkę", całkiem współczesny druciany pas cnoty, który żona musiała zakładać na czas służbowych podróży męża (sprawa wydała się, gdy trafiła do szpitala z poważną infekcją dróg moczowych).

W jednej z szaf znajduje się spory zbiór narzędzi zbrodni. W pewnej chwili w dłoniach profesora Dobosza pojawia się rzecz wyjątkowa: wspinały egzemplarz karabinu Mauser 98k z czasów II wojny światowej. Został tu przywieziony wraz ze zwłokami ofiary morderstwa. Historia ta, o dodatkowym, smutnym wydźwięku, jest na tyle ciekawa, że wymaga odrębnego potraktowania.

Obok schodów na antresolę stoi szafka wypełniona czaszkami osób w różnym wieku. Niektóre tak małe, że dałyby się zamknąć w dwóch dłoniach... W tym miejscu, we wrocławskim Zakładzie Medycyny Sądowej, znajdowały się kiedyś i inne, bardzo cenne historycznie dla Polaków czaszki, pochodzące z ekshumacji prowadzonych przez Niemców w 1943 roku w Katyniu.

Zawartość niektórych szaf z ekshumatami jest uznawana przez pracowników naukowych Uniwer-

sytetu za drastyczną. Nie robię tutaj zdjęć. Patrząc. Nie działa wyobraźnia. Bardziej, niż "jak", mózg pyta "dlaczego". Moje wrażenia? Wiedziałam, w jakie miejsce idę, czego mogę się spodziewać. Przyznaję, że wśród osób nieprzygotowanych takie widoki mogą wywołać bardzo silne emocje.

Z balustrady antresoli zwisają sznury, sznurki, druty, pasy, łańcuchy, chusteczki, strzępy firan. Pętle wisielcze – zapewne większością z nich posłużyli się samobójcy; desperacja ludzi w kwestii odebrania sobie życia bywa niesamowita.

Jeden ze sznurów jest wyjątkowy. Ten najdłuższy. Na pierwszy rzut oka – gruba lina. Z bliska dopiero widać, że został upleciony z ludzkich włosów. Kiedyś we wrocławskich tramwajach pewien dewiant, fetyszysta, obcinał kobietom włosy. Od razu kojarzy mi się współczesny łódzki "Fryzjer". Czy znał tę historię, czy był naśladowcą? Fetyszystę sprzed wieku znaleziono powieszonego na tym właśnie sznurze. Ilu kobietom musiał je obciąć? Sznur na oko ma grubość 2-3 cm, długość – ponad 2m.



Niedaleko drzwi stoi szafa, której zawartość przykuła moją uwagę na długo. Znajdują się w niej pięknie wypreparowane i bardzo wyjątkowe kawałki ludzkiej skóry.

Na początku napisałam, że w związku z muzeum są pewne plany. Profesor Dobosz opowiada o nich z ogniem w oczach i radością w głosie. Te plany to spełnienie marzenia jego i profesora Tomasza Jurka – by część zbiorów (część, bo

z wyłączeniem tych wyjątkowo drażniących) udostępnić szerszej grupie zainteresowanych. Było już wprawdzie kilka wystaw tematycznych, jednak – to jeszcze nie to. Tym razem będzie stała ekspozycja, muzeum z prawdziwego zdarzenia: oznaczone na mapie turystycznej Wrocławia, odpowiednio zorganizowane, poszczególne przedmioty we właściwy sposób pokazane i opisane. Wymaga to ogromu pracy



oraz godzin żmudnych poszukiwań w archiwach.

Zbiory zostaną rozdzielone na część ogólnodostępną – narzędzia zbrodni, część preparatów, część przeźroczy – oraz zgromadzone w "Camera Prohibita" ("Sali Zakazanej") zasoby dostępne tylko dla studentów medycyny i kryminalistyki – znajdą się tam przedmioty zbyt drastyczne w wyrazie, budzące obrzydzenie czy takie, które mogły-

by kogoś niepotrzebnie zainspirować: związane z seryjnymi zabójstwami, przestępczością seksualną, gwałtami, aborcjami, balistyką, ładunkami wybuchowymi.

Muzeum zostanie przeniesione z obecnego miejsca do budynku na wprost, czyli do przyziemia Collegium Anatomicum. Tam zajmie pomieszczenia dawnego prosektorium, chłodni i kaplicy. Do ekspozycji "materialnej" zostanie jeszcze



Gruba lina wykonana z ludzkich włosów
fot. Iwona Błach



włączona potęga techniki multimedialnej – będzie to między innymi wyjście naprzeciw oczekiwaniom niektórych zwiedzających, którzy zechcą zobaczyć sekcję zwłok. – Umożliwimy im to, łącząc rzeczywiście, zabytkowy stół sekcyjny z hologramem – mówi profesor Dobosz. – Będzie to również miejsce, w którym studenci będą mogli przygotować się psychicznie na zajęcia w sali sekcyjnej.

Planowane są też inne atrakcje, np. możliwość interaktywnej zabawy w rozwiązywanie zagadek rodem z pracowni balistyków czy laborantów kryminalistycznych.

Muzeum mieścić się będzie w pięknej, zabytkowej części kampusu. Już widok dziedzińca robi wielkie wrażenie: budynki o wyjątkowej linii, czerwona cegła. Panuje tu wyjątkowa atmosfera. Kiedy tu wchodziłam, wydawało mi się, że



Szafka z czaszkami osób w różnym wieku
fot. Iwona Błach

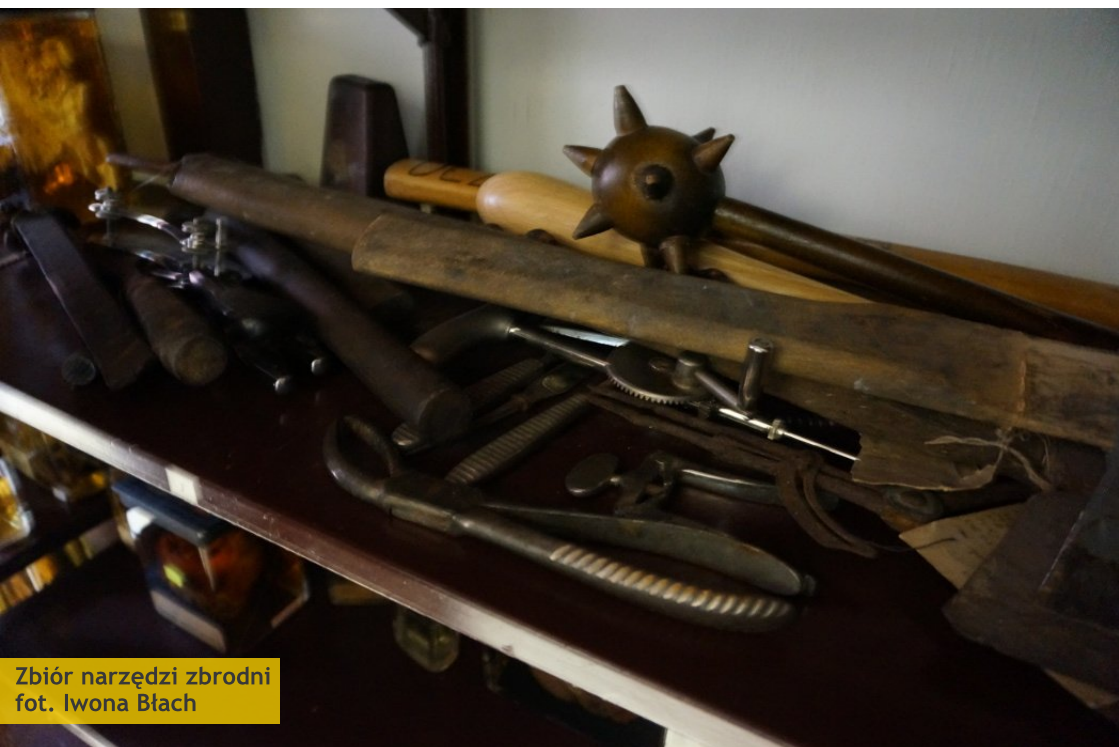
przechodzę przez wrota czasu.

W trakcie rozmowy z profesorem przestaję się temu wrażeniu dziwić: okazuje się, że na uczelni nadal są miejsca, które nie zmieniły się w ogóle od momentu, kiedy opuścili je Niemcy. Niedługo będzie można je zobaczyć, poczuć atmosferę dawnych pracowni i gabinetów.

Pracujący tu niesamowici ludzie mają na te miejsca wspaniałe pomysły. [•]

Autorka pracuje w jednej z dużych firm informatycznych w Katowicach. Fascynuje ją architektura, rzeźba i szkło. Dolny Śląsk jest jej "neverending story", światem odkrywanym wciąż na nowo, coraz ciekawszym i piękniejszym.

Autorka dziękuje serdecznie kierownikowi Katedry Medycyny Sądowej profesorowi dr hab. n. med. mgr. prawa Tomaszowi Jurkowi za umożliwienie wizyty w muzeum oraz profesorowi dr. Tadeuszowi Doboszowi za oprowadzenie po wystawie.



Zbiór narzędzi zbrodni
fot. Iwona Błach





Wielkie epidemie w Świebodzicach

RAFAŁ WIETRZYŃSKI

Od niepamiętnych czasów, odkąd pojawił się człowiek, wszelkiego rodzaju choroby i epidemie zagrażały populacji. Początkowo pojawiały się one sporadycznie, ale z czasem, gdy człowiek zaczął organizować się w coraz większe grupy społeczne, epidemie stawały się bardziej gwałtowne, a ich częstotliwość z roku na rok rosła.

Dawniej ludność nie zdawała sobie sprawy z elementarnych zasad czystości i higieny, toteż często uważano, iż wszelkie zarazy, jakie w owych czasach trapiły społeczności, były spowodowane ingerencją sił wyższych czy też niepomyślnym układem ciał niebieskich. Uważano, że wszelkiego rodzaju substancje pochodzenia roślinnego bądź zwierzęcego, psując się i gnijąc, potrafią wytwarzać przykre zapachy, które pod postacią lotnych i trujących ga-

zów są przyczyną częstych zaraz. Takie hipotezy i przypuszczenia towarzyszyły ludzkości nawet pod koniec XVII wieku. Dopiero gdy stworzono podstawy elementarnej bakteriologii, człowiek zdał sobie sprawę, że epidemie są zjawiskiem wynikającym z braku podstawowych środków sanitarnych i higienicznych, a nie z sił nadprzyrodzonych.

Czystość i porządek w średnio-wiecznych i nowożytnych miastach

Mury miejskie w Świebodzicach. Brama przy obecnej ul. Słowackiego - przejście z obecnej ul. Piłsudskiego do kościoła św. Mikołaja / pocztówka sprzed II wojny światowej, autor nieznany, źródło: www.dolny-slask.org.pl



Dolnego Śląska pozostawiały dużo do życzenia. Niejednokrotnie zdarzało się, że w niewielkim i ciasnym miasteczku (jak np. Świebodzice), opasanym ze wszystkich stron murami i poprzecinanym wąskimi uliczkami, stan higieny i dostęp do środków sanitarnych (o ile takie istniały) był naprawdę przynębiający. Mieszkańcy starali się wykorzystać każdą wolną przestrzeń nadającą się do zagospodarowania w mieście, toteż bardzo często zdarzały się wypadki wypasu bydła i trzody chlewnej na cmentarzach i ulicach. Nie wiele ulic było brukowanych, więc stawały się bajorami w okresie jesiennych opadów czy wiosennych roztopów. Nieczystości i wszelkiego rodzaju pomyje wylewano prosto na ulice, po których nieraz walały się różne śmieci, słoma czy też końskie i bydlęce łajno.

Średniowieczne miasta – pisał Patrick Süskind – wypełniał wprost niewyobrażalny (...) smród. Ulice śmierdziały łajnem, podwórza uryną, kuchnie skisłą kapustą i baranim łojem. W nie-

wietrzonych izbach śmierdziało zastarzałym kurzem i ostrym, słodkawym odorem nocników. Z garbarni buchał smród żrących ługów, z rzeźni smród zakrzepłej krwi. Ludzie śmierdzieli potem i niepraną garderobą. Z ust cuchnęło im zepsutymi zębami, z żołądków odbijało się im cebulą. Śmierdziało od rzeki, śmierdziało na placach, śmierdziało w kościołach, śmierdziało pod mostami i w pałacach.¹ Nic więc dziwnego, że w takich, okolicznościach szerzyły się groźne zarazy pozbawiające życia setki mieszczan, którzy uważali to za przejaw boskiej ingerencji i wymierzoną z różne przewinienia karę.

Czarna śmierć

W okresie średniowiecza Dolny Śląsk był niejednokrotnie nawiedzany przez groźne epidemie. Mówią nam o tym wypadki z lat 1298, 1317, 1348-50, 1360, 1371, 1372, 1438, 1460 i 1483, kiedy to szalejące pomory pochłaniały tysiące ofiar. Dziś trudno ustalić, jakie zarazy

1. P. Süskind: *Pachnidło*, Wydawnictwo Świat Książki, Warszawa 2006

trapiły ludność w tamtych czasach, gdyż wszystkie (poza dżumą) były określane jako morowe powietrze (z łac. morowe oznacza śmiertelne), ale nie jest wykluczone, że były to pospolite choroby, jak malaria, dur (tyfus) brzuszny, płamisty, powrotny, cholera, kiła, ospa czy trąd.

Opisując i analizując rozwój śmiertelnych chorób, warto wspomnieć o pandemii, jaka nawiedziła Dolny Śląsk i cały kontynent europejski w połowie XIV wieku (1348-1350). Była nią dżuma przywleczone do portów włoskich ze Wschodu, a roznoszona przez szczury i paso-



Ofiary czarnej śmierci wg Biblii Toggenburskiej z 1411 roku / ze zbiorów autora



żyujące na nich pchły. Czarna śmierć, bo tak owa pandemia zapisała się w dziejach, pochłonęła blisko 25 milionów mieszkańców, co stanowiło trzecią część ludności Europy. Jak pisze w swojej *Historii średniowiecza* T. Manteuffel, epidemia *wywołała panikę, powodującą ucieczkę mieszkańców zagrożonych obszarów na tereny nietknięte zarazą, sprzyjając jej szerzeniu się. Ofiary były tak liczne, że wiele miejscowości opustoszało, a ziemie uprawne zaczęły zarastać lasem.*² Wprawdzie dżuma wtargnęła także na ziemię śląską, ale nie zebrała tu tak dużego żniwa, jak w innych częściach Europy.

Jest całkiem prawdopodobne, że występujące wówczas groźne epidemie dotarły też do granic Świebodzic. Nie przetrwało wprawdzie żadne źródło z tamtych czasów, są jednak ślady, które mogą wskazywać na to, że epidemia rozwijała się w Świebodzicach.

Zachowane przekazy historyczne miasta Świdnica informują nas o pojawieniu się tam w 1349 roku

wspomnianej już "czarnej śmierci", która zabrała wielu mieszkańców tego miasta. Wówczas to rozgoryczeni świdniczanie skierowali swą nienawiść przeciwko miejscowym Żydom, oskarżając ich o zatrutowanie miejskich studni i wywołanie śmiertelnej epidemii. Kilkanaście lat później (w 1360 roku) dżuma ponownie wkroczyła w granice Świdnicy, zbierając kolejne ofiary. Wtedy to zdecydowano o założeniu wielkiego cmentarza poza murami miasta w celu grzebania zmarłych. Skoro więc zaraza dotknęła pobliską Świdnicę, to nie jest wykluczone, iż swoim zasięgiem dotarła również do Świebodzic, a przecież wiadomo, że w tych trudnych dla całej Europy czasach epidemia była przenoszona z miejsca na miejsce tylko za pośrednictwem człowieka.

Lepra i kiła

Poważną plagą w średniowieczu była dla ludzi (zwłaszcza biednych) lepra, czyli trąd. Wprawdzie wypadki śmiertelne wśród chorych na trąd były bardzo rzadkie, to jednak

2. T. Manteuffel: *Historia średniowiecza*, Warszawa 1994 r., s.290.



choroba ta powodowała trwałe kalectwo. Zarażeni trądem byli często traktowani w bardzo brutalny sposób. Wykluczano ich ze wspólnot, zmuszano do opuszczenia własnych rodzin, zakazywano wstępowania w związki małżeńskie, czy też odprawiano za nich msze, podczas których traktowano ich jako zmarłych. Chorych na leprę często zamykano w specjalnych zakładach (szpitalach) lub nawet odosobnionych koloniach, zwanych potocznie leprozoriami. Nie wiemy jednak, czy takie leprozorium znajdowało się kiedykolwiek na terenie dawnych Świebodzic.

Wiadomo, że w 1412 roku jest wzmiankowany na terenie miasta niewielki szpital, który znajdował się przy nieistniejącej już dziś kaplicy (kościół pw. św. Jana, usytuowanej poza obrębem murów miejskich (okolice dzisiejszej ul. Sienkiewicza i Szkolnej)). Ale czy ów ośrodek służył swoją pomocą chorym na trąd? Jest to mało prawdopodobne. Zwłaszcza, że po okresie epidemii "czarnej śmierci", w wyniku której zmarła znaczna część osób zarażonych leprą, a także na skutek

poprawy higieny osobistej w XV wieku (wielką rolę odegrały tu zakładane wówczas łaźnie miejskie), trąd zupełnie znikł.

Nie mniej tragiczna od trądu okazała się przewlekła kiła, która u schyłku XV i w XVI stuleciu siała prawdziwe spustoszenie. Geneza tej śmiertelnej choroby nie została do dziś w pełni wyjaśniona, ale niektórzy historycy przypuszczają, że dotarła ona do Europy w okresie wypraw Krzysztofa Kolumba do Ameryki. Mieli ją tu przywieźć uczestnicy tych wypraw, którzy po drugiej stronie Atlantyku dopuszczali się masowych gwałtów na kobietach indiańskich (choroba była przenoszona zazwyczaj drogą płciową).

Powracając jednak do starych źródeł Świdnicy, trzeba tu powiedzieć, że dzięki zachowanej XVI-wiecznej kronice miejskiego fizyka Daniela Schoepsa, wiadomo nam, że kiła w formie epidemicznej szerzyła się również w samej Świdnicy i jej najbliższej okolicy (nie jest wykluczone, że choroba ta dotarła także do Świebodzic). Schoeps zanotował w roku 1582, że zmarło na



nią 23 tysiące mieszkańców Świdnicy i pobliskiej okolicy. Szerzenie się w tamtych czasach kiły spowodowało konieczność zakładania specjalnych szpitali i tworzenia cmentarzy dla tak zwanych syfilitów, czyli osób dotkniętych tą chorobą.

Wojna trzydziestoletnia

Okres wieków średnich nie był jedynym w historii tych okolic,

w którym tak gwałtownie szalały śmiertelne epidemie. Śledząc i badając stare przekazy i dokumenty historyczne dowiadujemy się, że równie wielkie pomory dotyczyły Świebodzice także w późniejszych czasach. Groźne zarazy, które w epoce nowożytnej nawiedziły miasto, miały przede wszystkim związek z działaniami wojennymi, jakie w XVII i XVIII stuleciu przetrząsały się przez dolnośląską zie-

Śmierć króla szwedzkiego Gustaw II Adolfa w bitwie pod Lützen podczas wojny trzydziestoletniej / obraz olejny Carl Wahlboma z 1855 roku





mię. Przykładem tego mogą być lata wojny trzydziestoletniej (1618-1648), kiedy to liczne przemarsze obcych wojsk, wysokie kontrybucje, nędza i głód, przeplatały się z wielkimi zarazami, które niejednokrotnie wyludniały obszar dawnych Świebodzic.

Pierwsze echa pożogi wojennej dotarły na tu wraz z początkiem lat 30. XVII stulecia. Wówczas to po raz pierwszy świebodziczanie odczuli tragiczne skutki wojny. Ale zanim do tego doszło, już kilka lat wcześniej dała się we znaki mieszkańcom miasta epidemia (zapewne cholery), która swym zasięgiem objęła całą dzielnicę śląską. Zachowane źródła historyczne mówią nam o dwóch wielkich zarazach, które w roku 1617 i na przełomie lat 1624/25 nawiedziły cały Śląsk.

Nie mamy potwierdzenia w źródłach, że pierwsza epidemia z 1617 roku dotarła do granic Świebodzic, chociaż takiego obrotu spraw nie można wykluczyć. Zresztą jedna z dawnych kronik Świebodzic wspomina, iż w tym okresie *pojawił*

się szkaradny, tnący spalenizną smród, który przez całą krainę, a także na sąsiednie państwa rozciągał się (...) Później przez dwa lata różne niezwykle choroby nawiedzały kraj z powodu, których wiele ludzi umarło, pomimo, że nie były zaraźliwe.³ Był to zapewne wstęp do czarnego scenariusza, który już niebawem miał zapoczątkować trudny okres w historii miasta.

Tak się jakoś złożyło, że rok 1624 okazał się pierwszym w historii nowożytnej tych okolic, gdzie miejskie kroniki odnotowały objawy śmiertelnej zarazy. Szalejąca cholera pochłonęła ponad 100 ofiar, co znacząco odbiło się na tutejszym życiu społeczno-gospodarczym. Na tym jednak nie koniec. Lata 30. XVII wieku przyniosły jeden z najdramatyczniejszych okresów w historii Świebodzic.

Najgorsze zaczęło się już w 1630 roku, kiedy to w okolicach Świebodzic pojawiły się wojska szwedzkie. Oparta na księgach kościelnych polniemiecka kronika Świebodzic au-

3. J.F.E. Wurffel: *Chronik Freiburg Schl.*, Świebodzice 1937.



torstwa J.F.E. Wurffla opisuje tragiczne żniwo tamtych lat. Według niej w 1630 roku zmarło w mieście w wyniku groźnej zarazy 118 osób, w 1632 – 94 osoby, a w 1633 – aż 1402 osoby. Przy czym straty te dotyczą tylko samych Świebodzic. W tym samym czasie w nieodległym Mokrzeszowie w wyniku epidemii zmarły 364 osoby, a w pobliskich Cierniach morowe powietrze pochłonęło blisko 700 ofiar.

Jak zatem widać sytuacja miasta w 1633 roku była naprawdę rozpaczliwa. Zaraza pochłonęła zdecydowaną większość mieszkańców Świebodzic, z władzami miasta na czele.⁴ *Ulice były zawałone trupami – jak relacjonuje Wurffel – opuchniętymi z powodu panującej latem temperatury. Od czasu do czasu ktoś z rodziny, jeżeli taka była, swoich zmarłych pochował, jednak większość leżała bez pochówku, a psy szarpały i rozwlekały nieboszczyków po ulicach.*

Ale nie tylko mordercze pomory dawały o sobie znać w tych trud-

nych czasach. Świdnicki kronikarz Ephraim Ignatius Naso pisze także o wielkich gwałtach i grabieżach, jakich w 1633 roku dopuściły się obce wojska na ludności tych okolic: *Saksończycy, którzy bardzo dzielnie trzymali się w Świdnicy, zmusili wojska cesarskie do odwrotu, co ci ostatni czynili bardzo niechętnie. Tą niechęć także nasze miasto odczuło, bo napadali oni i rabowali niespodzianie. Ponieważ mieszczenie praktycznie już wszystko stracili, więc żołnierze niewiele znajdowali. Na biednych mieszkańcach popełniano kolejny gwałt. Aby wyjawiali, co gdzie cennego ukryli, żołnierze wiadrami wodę do gardła wlewali, aż do uduszenia. Innym palce śrubowano, aż krew spod paznokci tryskała. Niektórym sznur na szyję zakładano i wleczono tu i tam. Nawet chorych wywlekano z łóżek i szpadę lub pistolet do piersi przykładano z żądaniem ujawnienia, gdzie pieniądze mają schowane. Sędziogo Johanna Seidla*

4. Cholera zabiła nawet ówczesnego burmistrza Jerzego Ludwiga, a z władz magistratu miał ponoć ocaleć tylko miejski pisarz.



*z Cierni w rozgrzany piec piekarski tak długo wkładano i wyciągano, aż ducha wyzionął. Stare kroniki mówią: "Wielkie księgi by stworzono, gdyby wszystkie okrucieństwa tamtych ludzi bez serca, które w Świebodzicach popełnili, opisać by kto zechciał."*⁵

Na szczęście wojna trzydziestoletnia skończyła się, a dla miasta nastał czas spokoju. Świebodzice przez kolejne kilka pokoleń nie za-

znały w swoich dziejach wielkich pomorów. Nie znaczy to, że odeszły one na dobre.

Wojny śląskie i napoleońskie

Wiek XVIII również przyniósł ze sobą wojnę, która wyrządziła wielkie szkody na tych terenach. Toczący się konflikt pomiędzy Prusami i Austrią o Śląsk nie oszczędził też Świebodzic. Zaczęły na nowo pojawiać się w granicach miasta

5. A. Rubnikowicz, J. Palichleb, M. Palichleb: *Kronika Miasta Świebodzice 1220-2010*, Świebodzice 2010, s.15.

Bitwa pod Dobromierzem podczas wojen śląskich, atak pruskich grenadierów obraz olejny Carl Röchlinga sprzed 1913 roku





różne choroby, głód i zniszczenia. Dramatyczna sytuacja nastąpiła szczególnie w 1757 roku, kiedy po wkroczeniu do Świebodzic wojsk pruskich nakazano tutaj – na czas oblężenia pobliskiej Świdnicy – stworzyć wielki lazaret wojskowy. Wycieńczeni działaniami wojennymi pruscy żołnierze, głodni, ranni i schorowani, leżeli prawie w każdym domu w mieście, dzieląc swój los z mieszkańcami grodu.

W takich okolicznościach wybuchła groźna epidemia. Choroba nie tylko dziesiątkowała przebywających w Świebodzicach rannych żołnierzy, ale także swoje śmiertelne żniwo zbierała wśród mieszkańców miasta.

Źródła odnotowały, że na przestrzeni kilku pierwszych miesięcy 1757 roku zaraza mogła pochłonąć ponad 1200 Prusaków. Nie udało się natomiast ustalić, ile ofiar było tak naprawdę wśród mieszkańców. Nie wiadomo również, co zrobiono z ciałami tylu zmarłych osób w mieście. Czy spoczęły na tutejszym cmentarzu, położonym poza murami? Czy też wyodrębniono dla nich inne miejsce pochówku, gdzie mo-

gli zostać złożeni w zbiorowych mogiłach?

Wraz z początkiem XIX stulecia nastąpił wzrost uprzemysłowienia. W granice Świebodzic zaczęły napływać nowi osadnicy. Powstawały nowe fabryki, ulice i dzielnice. Miasto rozrastało się. Wydawałoby się, że dawne czasy wielkich pomorów odeszły w niepamięć. Tak się jednak nie stało.

Wiek XIX to także okres, gdzie od czasu do czasu dawały o sobie znać groźne choroby i epidemie. Już w 1813 roku cała niemal dzielnica śląska stała się terenem napoleońskich konfliktów.

Wycofujące się spod Moskwy niedobitki wielkiej armii francuskiej weszły na Śląsk, a wraz z nimi nastały znów ciężkie czasy. Przez Śląsk przemieszczały się wtedy wojska bawarskie, sprzymierzone z Francuzami, których żołnierze nagminnie cierpieli na gnijną gorączkę. Na szczęście Bawarczycy nie zagrzali tu długo miejsca, a wzmożony nadzór służb sanitarnych był na tyle skuteczny, że Świebodzicom udało się uniknąć kolejnej wielkiej tragedii.



Równie dużo szczęścia mieli mieszkańcy Świebodzic w okresie pandemii cholery, jaka w latach 1826-1837 nękała całą Europę. Na śląską ziemię przywędrowała ona latem 1831 roku. Wprawdzie pojedyncze przypadki pojawiały się również w Świebodzicach, ale jednak tym razem mieszkańcy wydawali się być dobrze przygotowani na jej przyjście. W mieście ogłoszono surową dyscyplinę i zarządzono ogólną mobilizację. Powołano nawet tzw. straż cholery, która miała strzec przed rozprzestrzenianiem się zarazy, a na granicach miasta ustawiono posterunki, które bacznie sprawdzały i obserwowały każdego podróżnego, chcącego przekroczyć mury Świebodzic.

Ospa

W 1872 roku Europa znów została nawiedzona kolejną epidemią. Tym razem we znaki mieszkańcom starego kontynentu dała się ospa. Choroba dotarła także do Świebodzic. W mieście zachorowało wówczas 359 osób, z czego 27 przypadków zakończyło się śmiercią.

Tyfus

Nie ma jednak wątpliwości co do tego, że najtragiczniejszy w skutkach we współczesnej historii miasta był tyfus, który w pierwszych miesiącach po zakończeniu II wojny światowej wyludnił niemal całkowicie Świebodzice.

Nie wiadomo dlaczego były one wtedy jedynym ośrodkiem Dolnego Śląska, który w tak drastyczny sposób odczuł skutki szalejącego tyfusu. Aby zwalczyć chorobę, trzeba było miasto zupełnie odciąć od świata. Szczelny kordon wojska na kilka tygodni otoczył Świebodzice i nie wpuszczał do nich nikogo. Również pierwsze powojenne władze, z burmistrzem na czele, były zmuszone opuścić Świebodzice. Na drzwiach wielu domów widniał wówczas napis w języku niemieckim: *Tyfus! Nie wchodzić!*, a na ulicach miasta i po kątach domów walały się trupy ofiar epidemii.

Dziś trudno oszacować dokładną liczbę zmarłych na skutek szalejącego pomoru, chociaż niektóre dane mogą wskazywać nawet na 5 tysięcy osób! Wiadomo jednak, że



byli to głównie Niemcy, których ciała chowano w olbrzymich zbiorowych mogiłach na terenie dwóch cmentarzy (przy ul. Wałbrzyskiej i Jeleniogórskiej)⁶. Nikt wtedy nie pokusił się nawet o policzenie zmarłych, ani tym bardziej o potwierdzenie ich tożsamości. Tych, którzy zmagali się wtedy z chorobą, gromadzono na terenie szpitala, w budynku byłej SP nr 2 oraz w pomieszczeniach "Caritasu".

Świebodzice zmagaly się z szalejącym tyfusem przez około 2 miesiące. Aby przekonać się, jak dramatyczna sytuacja panowała w tym czasie w Świebodzicach, przytoczmy tutaj fragment książki Krystyny Pająkowej, która w owych dniach była sanitariuszką na terenie Świebodzic:

Tyfus szerzył się niepokojąco, że nie było innej rady. Wojsko musiało otoczyć miasto (...) Przez kilka dni, po zamknięciu miasteczka, przez megafon umieszczony na da-

chu sanitarki Armii Czerwonej używałam ludność do ujawniania chorych. W bezdennej ciszy, która opanowała miasteczko, powtarzałam ciągle na nowo te same słowa: Achtung, Achtung...

(...) Oprócz lekarzy i nas, cała ludność Świebodzic była przecież niemiecka. Szpital zappełnił się chorymi jeszcze przed blokadą, a przybywało ich z godziny na godzinę. Już na drugi dzień nie było miejsca w przygotowanych przez nas domach. Zajęliśmy szkołę i tam układaliśmy chorych na materacach, na ziemi, łóżek już zabrakło. I te pomieszczenia zappełniły się do południa.

(...) Ludzie umierali jak muchy, jeden za drugim, kobiety, dzieci i starcy – śmierć nie wybierała. Poznałam każdy kamień na drogach świebodzickich. Dźwigając nosze, trzeba było dobrze patrzeć pod nogi, żeby się nie potknąć. Trudno by mi było powiedzieć co-

6. Z zachowanych relacji pierwszych pionierów, wynika, że wśród ofiar szalejącego wówczas tyfusu byli także obywatele polscy, którzy pochowani zostali na terenie nieistniejącego już cmentarza przy ul. Jeleniogórskiej.



kolwiek o tym mieście. Widziałam tylko chorych, widziałam nędzę ludzi starszych, wygłodzonych i ubogich.

(...) Trupy, ciągle trupy! Od rana do wieczora nic, tylko trupy – skarżyła się Marianna. Mam tego po dziurki w nosie

(...) Marianna jeździła olbrzymią platformą, do której był za-przężony stary, ślepy koń pocztowy, po chodniku zbierała trupy. Koń miał przyczepiony do szyi dzwonek, żeby wszyscy słyszeli i wynosili przed domy umarłych. Marianna miała jednego pomocnika, na wpół obłąkanego Niemca. Zbierali trupy od rana do wieczora. Jak zapełnili platformę, wywozili ją

na cmentarz, a tam jeńcy niemieccy kopali i chowali umarłych.

My szukaliśmy żywych, żeby zrobić dla nich wszystko co można. Kiedy wracaliśmy do domu nie mieliśmy już ochoty ani siły na rozmowy (...) Każdy, jeżeli tylko było to możliwe, zamykał się gdzieś, byle dalek od świata i tyfusu.

Dramatyczną sytuację na terenie Świebodzic udało się dopiero opanować dopiero z końcem 1945 roku [•]

Autor z wykształcenia jest ekonomistą, a z zamiłowania historykiem. Napisał kilka książek oraz kilkudziesiąt artykułów o historii regionalnej, dotyczących głównie przeszłości rodzinnych Świebodzic i najbliższych okolic. Obecnie za granicą.

Ważniejsza literatura:

1. R. Wietrzyński, *Największe tajemnice Świebodzic*, wyd. II, Świebodzice 2010
2. R. Wietrzyński, *Nieznana historia Świebodzic*, Świebodzice 2010
3. M. Palichleb, *Epidemia tyfusu*, w: *Świebodzice - dzieje miasta*, 1(170), styczeń 2012
4. www.pionierzy.swiebodzice.pl
5. A. Rubnikowicz, J. Palichleb, M. Palichleb, *Kronika Miasta Świebodzice 1220-2010*, Świebodzice 2010
6. M. Kacprzak, *Epidemiologia, profilaktyka i zasady zwalczania chorób zakaźnych, Vademecum lekarza praktyka*, tom I, Warszawa 1955
7. J.F.E. Wurffel, G. Rieck, *Chronik Freiburg Schl.*, Świebodzice 1937
8. D. F. Giedroyc, *Źródła biograficzno-bibliograficzne do dziejów medycyny w dawnej Polsce*, Warszawa 1961
9. K. Pająkowska, *Ucieczka od zapachu świec*, Warszawa 1965



Karkonoska Grupa GOPR od ponad 50 lat zabezpiecza teren Sudetów Zachodnich, który rocznie odwiedza 4 miliony turystów z całego świata. W ciągu roku przeprowadza około 300 akcji ratunkowych, 100 interwencji oraz 10 wypraw poszukiwawczych. Składa się z blisko 150 ratowników, którzy pełnią duży rok przez cały rok przez całą dobę / fot. lukas_jg | pixabay

Najtragiczniejsza lawina w polskich górach

WOJCIECH GŁODEK

Jest środa, 20 marca 1968 roku. Pogoda w Karkonoszach piękna i słoneczna. Jest stosunkowo ciepło i przyjemnie. Zaczyna jednak wiać wiatr. Jest zbyt silny, aby mogła działać kolejka krzesełkowa na Małą Kopę.

Koniec lat 60. to początek powojennego boomu turystycznego, początek rosnącej popularności karkonoskich kurortów, do których już w następnej dekadzie będzie przybywać co roku ponad półtora miliona wczasowiczów. Już wtedy, zarówno do Szklarskiej Poręby, jak i Karpacza przyjeżdża ich jednak całkiem sporo. I to nie tylko z kraju. Polska zaczyna się właśnie otwierać na inne kraje "demokracji ludowej". Do Karpacza i Szklarskiej Poręby docierają przez granicę Czesi i Słowacy, przyjeżdżają Niemcy z NRD oraz Rosjanie.

Największą atrakcją są oczywiście Karkonosze. Wielu turystów

wybiera się na wycieczkę na grań korzystając z wyciągu krzesełkowego na Małą Kopę. Jest to dużo mniej męczące od wspinania się szlakiem. Brak działającego tego dnia wyciągu zniechęca część turystów do wycieczek, wolą zostać w Karpaczu i opałać się na dole, korzystając z ciągle pięknie świecącego słońca. Jednak nie wszyscy.

Niektórzy nie mogąc wjechać wyciągiem, decydują się samodzielnie wspiać szlakiem do Strzechy Akademickiej, szczególnie, że najpopularniejszy w tym okresie przewodnik Stecia określa tę drogę jako "łatwą". Około godziny 10. właśnie tą łatwą drogą Stefan We-

reniuk, pochodzący z Warszawy pilot wycieczek, prowadzi swoją grupę turystów ze Związku Radzieckiego mieszkającą w Domu Zagranicznej Turystyki Młodzieżowej w Karpaczu.

Nie planują długiej wycieczki, do obiadu pozostały im niecałe cztery godziny. Mieli wjechać wyciągami na Kopę, ale gdy dowiadują się, że ten jest zamknięty, decydują się wejść kawałek pod górę dla lepszych widoków. Zapowiada się krótka i interesująca wycieczka. Wereniuk nie jest przewodnikiem górskim, jednak bardzo chce pokazać swoim gościom piękno Karkonoszy. Są młodzi i nie odstrasza ich konieczność wejścia na pieszo.

Do idących pod górę Rosjan dołącza kilku młodych Niemców z NRD, którzy są również na urlopie w Karpaczu. Po drodze mijają też grupki Polaków, którzy już wcześniej wybrali się na spacer. Słońce grzeje, drzewa na początkowym odcinku osłaniają od wiatru. Jest pięknie i malowniczo.

Nikt z turystów idących tą trasą - niezależnie czy polskich, czy zagranicznych - nie zwraca uwagi na

stojące tam już wtedy tablice z żółto-czarnymi szachownicami. Ostrzegają one przed lawinami, jednak przecież wszyscy wiedzą, że Karkonosze to nie Tatry, Karkonosze są bezpieczne, to przecież - jak mówią złośliwcy jeżdżący w Tatry - "kocie pagórki".

Przed osiągnięciem Białego Jaru jest najbardziej stromy i męczący odcinek. Stąd turyści na podejściu rozciągają się coraz bardziej. Niektórzy odchodzą na bok, aby mieć lepszy widok lub odpoczywają chwilę. Nie wszyscy mają odpowiedni ubiór czy buty.

Sam Biały Jar to zagłębienie powstałe setki tysięcy lat temu w wyniku działania śniegu, który gromadził się tu dziesiątki lat. Nie zdołał ostatecznie przekształcić się w lodowiec, jednak odcisnął swoje piętno w postaci ogromnej niszy, która dziś zachwyca swoim urokiem. Szczególnie w zimie jest tu pięknie. Ścieżka w miarę wznoszenia w górę zwęża się. Prowadzi tuż pod stromymi urwiskami, na których zwisają potężne, malownicze płaty śniegu. Jest godzina 11 przed południem.

Wyciąg na Kopę z Karpacza
fot. Rainer Lehrig, rok 1979



Nagle śnieg pojawia się ze-
wsząd. Pędzi z prędkością przeszło
100 km na godzinę i nikt nie jest
w stanie przed nim uciec. Idący
z przodu nikną pod nim momental-
nie. Ci niżej lub bardziej z boku ma-
ją nieraz więcej szczęścia. Niektórzy
chwyatają się drzew, śnieg nie przy-
krywa ich w całości, są w stanie po-
tem sami się odkopać.

Pomoc przychodzi bardzo szyb-
ko, bo kolejni turyści są niżej na
szlaku. Jednak to, co widzą ratow-
nicy, przekracza wszelkie wyobra-
żenia. Jak później ocenią fachowcy
- lawina, która właśnie zeszła
w Białym Jarze, miała prawdopo-
dobnie ponad kilometr długości
i prawie 100 metrów szerokości,
a wysokość jej czoła mogła równać

Akcja ratunkowa w Białym Jarze, 1968 rok / autor nieznany (x2), źródło: Wikipedia



się z 8-10 piętrowym budynkiem. Jeszcze nigdy nie mieli do czynienia z czymś takim w Karkonoszach.

Do końca dnia przekopywaniem śniegu i poszukiwaniem ofiar zajmuje się ponad 1000 osób. To nie

tylko ratownicy GOPR i czeskiej Horskiej Służby. Są żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza, strażacy, robotnicy z Karpacza. Do pomocy przywieziono słuchaczy Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej z Jeleniej



Góry i odwozy MO z całego powiatu. Ściągnięto nawet żołnierzy z Żagania, którzy próbowali odstrzelić pozostałe jeszcze nad Białym Jarem nawisy zagrażające ratownikom

kolejną lawiną. Omal nie doszło wtedy do następnej tragedii. Nawisów nie udało się strącić, a dwa pociski podobno przeleciały nad grzbietem i eksplodowały po cze-



skiej stronie niedaleko zabudowań w dolinie Białej Łaby.

Wszyscy kopią do końca dnia, a potem w światłach reflektorów przez całą noc. Potem kolejny dzień. Aby przygotować samo tylko śniadanie dla wszystkich ratowników, w Hotelu Orlinek zużyto pół tony chleba. W ciągu 3 dni wykopano

prawie 700 korytarzy sięgających po kilka metrów w głąb lawiny. Poszukiwania trwają długo. Ostatecznie znaleziono ciała aż 19 ofiar, ostatnią dopiero 16 dni po lawinie, 5 kwietnia.

1968 rok to nie są czasy Internetu i instant messaging. Mające ukazać się w czwartek, 21 marca

Akcja ratunkowa w Białym Jarze, 1968 rok / autor nieznany (x2), źródło: Wikipedia



(dzień po zejściu lawiny) "Nowiny Jeleniogórskie" (nr 12/1968) są już drukowane. Nie będzie w nich nic o tej tragedii, będzie natomiast krótka wzmianka o zdarzeniu sprzed kilku dni i ostrzeżenie... przed lawinami.

W niedzielę, 17 bm., około godziny 11 na opustoszałą dolną stację wyciągu w Karpaczu przybie-

gła zaszokowana kobieta. Nieśkładnie mówiła o lawinie, która zasypała jej współtowarzyszy w kotle Białego Jaru. Kierownik wyciągu natychmiast zaalarmował "Strzechę" i "Samotnię". Po chwili z obu schronisk wyruszyło 50 ratowników. (...) Zeszły dwie lawiny. Pierwsza zasypała dwóch mężczyzn i kobietę, natomiast

Akcja ratunkowa w Białym Jarze, 1968 rok / autor nieznany (x2), źródło: Wikipedia



druga pochłonęła czterech mężczyzn i jedenastoletnie dziecko. Wszyscy żyją. (...) Przyjechali rano do Karpacz i bez przewodnika ruszyli w góry, pomimo tego, że byli ostrzeżeni o grożącym niebezpieczeństwie. Dobrze, że lawina samym końcem dosięgła tylko części niefortunnych wycieczkowiczów.

Mogło być o wiele gorzej. Dopiero w kolejnym, ukazującym się 28 marca (nr 13/1968) wydaniu "Nowin Jeleniogórskich" można przeczytać szerszą relację o tragedii w Białym Jarze. Zdjęcia jednak jeszcze nie dotarły. Fotoreportaż pojawi się dopiero po kolejnych dwóch tygodniach (nr 15-16 /1968). Wtedy też





Fot. Sienkowiak

Piękne ośnieżone stoki zbiegają się na dnie „Białego Jaru”
Komu mogłoby przyjść do głowy, że pokrywa całej ściany nagle ruszy!



Fot. Kabicki

Gardziel „Białego Jaru”



Fot. Sienkowiak

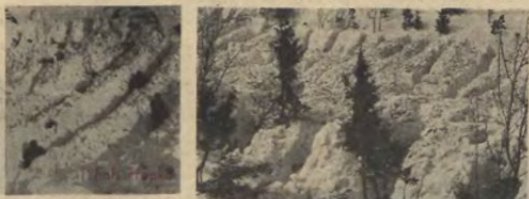
Nieco podobny do „Białego Jaru” jest układ kofa „Małego Stawu”
I tu schodzą lawiny tylko ludzi nie ma na trasie ich biegu

Człowiek spiętrzył się w trzpiętową górę. Jej wysokość przekraczała na szczycie 15 metrów. Długość – prawie kilometr



Fot. Trzaska

To przejdzie do historii. 1100 ludzi wykopało w ciągu 72 godzin około 700 korytarzy przekraczających głębokością często dwukrotnie wzrost dorosłego człowieka. Tak szukano ciała 19 zasypanych ofiar lawiny Fot. Kabicki



Kopano z największą ostrożnością. Prawie 2/3 nawisów w jarze pozostało zawieszonych nad białą doliną. Warty obserwowały zbocza

Widoczne na zdjęciu pomysł śnieżne miały ponad 4 metry wysokości. Kto dostał się pod zwolę nie miał najmniejszych szans ucieczki z życiem. Odkopano zmarłych. Fot. Kabicki

PEŁNA LISTA OFIAR KATASTROFALNEJ LAWINY, JAKĄ ZESZŁA DN. 20 MARCA 1968 ROKU O GODZINIE 11 MINUT 10 W DOLINIE „BIAŁEGO JARU” KOŁO KARPACZA:

1. WŁADYSŁAW ALEKSANDROWICZ BONDARENKO z Usole obw. (oblas) Kujbyszew, urodzony w 1939 roku; 2. TAJSIJA PIETROWNA BIELIKOWA z Piestrowska obw. Kujbyszew, ur. 1945; 3. WALENTINA JAKOWLEWNA WISZNAKOWA z Rjeki Samara obw. Kujbyszew, ur. 1947; 4. SZAWKAD SZAKIROWICZ KURNIEJEW z Kujbyszewa, ur. 1939; 5. GALINA MICHAJŁOWNA KOZAKOWA z Syzrańskaja obw. Kujbyszew, ur. 1946; 6. WALERIA IWANOWNA RAZINKOWA z Kujbyszewa, ur. 1943; 7. IRINA MIKOLAJEWNA RESZCZIKOWA z Kujbyszewa, ur. 1940; 8. WIACZESŁAW MICHAJŁOWICZ SALOW z Kujbyszewa, ur. 1940; 9. WIKTOR IWANOWICZ FIEDOTOW z Kujbyszewa, ur. 1940; 10. LIDIA IWANOWNA PUSZYLIWA z Kujbyszewa, ur. 1946; 11. GALINA WALENTYNOWNA PIETROWA z Kujbyszewa, ur. 1941; 12. GALINA MICHAJŁOWNA WIAKINA z Syzrańskaja obw. Kujbyszew, ur. 1947; 13. RYMYA GRIGORIEWNA SZYRYNSKAJA z Kujbyszewa, ur. 1942; 14. KARL HEINZ HOLLER z Hohenbock, ur. 1946; 15. INGEBORG RINGEL z Zwickau, ur. 1932; 16. EUGEN NEUBAUER; 17. HEINZ GRUNERT; 18. BOLESŁAW KOŁEWSKI z Warszawy, ur. 1913; 19. STEFAN WAWRZENIUK z Warszawy, ur. 1941 (pilotem grupy turystów radzieckich).

Należy przypuszczać, że na tym zamyka się lista ofiar, nie ogłoszone nazwiska śnieżnej lawiny, które zaginęły w tym czasie przebywając w Karłowcach. Absolutnie jednak pewnym jest, że nie był na trasie spadku lawiny ktoś do tej pory nie zgłoszony, można byłoby mieć nadzieję, gdyby się pojawił, że byłby z nami.

W pewnym momencie odwołaliśmy kilka kroków na bok. Podchodziłmy już pod górę, co było dla nas czymś jak dla kilku minut po jednej zamyce. Gdyby ktoś nas byłby straszył, abyśmy nie byli tak blisko, to byśmy nie byli tak blisko. Wtedy ktoś nas byłby straszył, abyśmy nie byli tak blisko. Wtedy ktoś nas byłby straszył, abyśmy nie byli tak blisko.

Jak ruszyła lawina? Kiedy? W jaki sposób? Na te pytania nie odpowiedział nikt.

ANDRZEJ LESIEWSKI

Śmierć

Lista osób rannych obejmuje właściwie tylko pięć nazwisk. Są to: WŁADIMIR SZCZEPANOWICZ FADIEJEW z Kujbyszewa, IELIZA KIESER z NRD, GERT KELLER z NRD, WŁADYSŁAW SUBOCZ z Warszawy i HENRYK KIEDZIERZAK z Warszawy. Ranni przebywają w szpitalu i stan ich nie budzi żadnych obaw.

Powstała też panika. Setk ludzi w tygodniku NOWINY JELEŃSKIE (poprzednia drukownia dwa tygodnie temu, nie zachodzi potrzeba powtarzania pewnych faktów. Dopiero wice obywateli dała nadzieję, że w końcu katastrofa nie ma jednak wątpliwości, że jeszcze przez dłuższy czas znajdujemy w różnych publikacjach inne dane, bądź powtarzające co z minier, bądź też wzmieniające całkiem nowe elementy. Takich skłonności polemicznych należy się przede wszystkim spodziewać na temat ramienia lawiny i sposobu samego zejścia. Są to rzeczy albo trudne do obliczenia, bądź w ogóle nieoparte na niepoprzednim wiarogodnym doświadczeniu.

JAK TO BYŁO? Opowiadał Władimir Fadiejew z Kujbyszewa, jedyny uratowany z całej grupy turystów radzieckich, którzy tego dnia wyszli w górę. Szedłem w grupie turystów radzieckich, a namiernikiem poszukiwałem na szczycie Kopy. Ktoś powiedział nam, że wyciąg z porównania wiatru jest niebezpieczny, przez chwilę trwała naradza, co robić z naszym, jakiś tam jeszcze został obywatel. Świdło wspaniale słońce. Wszyscy byli zdania, że trzeba pójść trochę pod górę i tam opadła się. Wybrałmy pierwszą drogę, jaką była kłosa wiatru. Przed nami szli jacyś turyści, mogliśmy więc iść, że idąc pewnie w stronę, której prowadził ślad.

Rozejrzeliśmy wszyscy wokoło i dość głośno, bo porwał wiatr dmuchający z dala się, powiedzieliśmy: Ten przeciwny wiatr w uśmiech mógł zagłuszać o wiele więcej niż odgłos spadającej lawiny. Pewnie ktoś, że można było pójść przed siebie. I to nie było takie już. Śnieg w czasie wiatru wiał w nas, więc nie widać, jak piersi są. Wtedy ktoś nas byłby straszył, abyśmy nie byli tak blisko. Wtedy ktoś nas byłby straszył, abyśmy nie byli tak blisko.

W pewnym momencie odwołaliśmy kilka kroków na bok. Podchodziłmy już pod górę, co było dla nas czymś jak dla kilku minut po jednej zamyce. Gdyby ktoś nas byłby straszył, abyśmy nie byli tak blisko, to byśmy nie byli tak blisko. Wtedy ktoś nas byłby straszył, abyśmy nie byli tak blisko.

Jak ruszyła lawina? Kiedy? W jaki sposób? Na te pytania nie odpowiedział nikt.



Zrozumiała zazdrość wzbudziły śnieżne skutery Czechów. Przyjechali nimi na przełaj przez góry

Ok. jedna z ofiar ciekawość byliby z śnieżnym kłopotem. Wokół pogodnych Konoosze!

wypowie się dwóch spośród ocalałych turystów.

Władimir Fadiejew z Kujbysze-wa to jedyny, który przeżył z grupy 14 turystów ze Związku Radzieckiego: *Kiedy powiedziano nam, że wyciąg z powodu wiatru jest nieczynny trwała narada, co robić z czasem, jaki nam jeszcze został do obiadu. Świeciło wspaniałe słońce. Wszyscy byli zdania, że trzeba pójść trochę pod górę i tam opalać się. (...) Rozmawialiśmy wszyscy wesoło i dość głośno, bo porywisty wiatr dmuchał z dużą siłą prosto w twarz. Ten przeciągły gwizd wiatru w uszach mógł zagłuszać o wiele więcej niż odgłos spadającej lawiny. (...) Mnie wyrzuciło w powietrze. Pewnie dlatego, że stałem z boku i zostałem zahaczony przez jakieś "skrzydło". Leciałem więc dłuższy czas, a potem uderzyło mną o sunące zbocze śnieżne. Koziółkowałem w niesamowity sposób. Zaczepiałem o wleczone i opierające się lawinie drzewa. (...) Czułem, że coś mnie okropnie boli, ale to wydawała się drobiazgiem*

w porównaniu z przerażającą ciszą i pustką. (...) Tak mnie znaleźli. Posadzili na sankach i zwieźli w dół. Wołałem, żeby ratowali resztę. Widziałem biegnących w kierunku miejsca katastrofy. Potem były już tylko sanitarki, szpitale i gips.

Gert Keller z NRD to jeden z młodych Niemców, którzy dołączyli do wspinających się Rosjan: *Moi koledzy dosłownie zniknęli pod nagle ruchomą pokrywą śniegu. W ułamku sekundy nie było ich już koło mnie. Miałem wrażenie, że wszystko płynie. Nie tylko za nami, ale i przed nami. Nie było wokół stałego miejsca, wszystko pędziło coraz szybciej w niewiadomym kierunku. Przez chwilę usiłowałem być na powierzchni, ale to trwało tylko moment. Zawiodły również próby chwycenia za drzewo. Znalazłem się pod lawiną. (...) Nadeszła chwila, że zapas powietrza skończył się. Pewnie w takich momentach nadchodzi duszenie i śmierć. Na szczęście ciemność wokół mnie*

zrzedła. Śnieg otaczający mnie był już nie czarny, a szary. Jeszcze kilka ruchów rąk. Światło... Śnieg stężał, znieruchomiał. Z trudem wyszedłem na wierzch (...) spod śniegu wyłazłem już po przeciwnej stronie jaru.

Lawina w Białym Jarze jest do dziś najtragiczniejszą w polskich górach. Prawie dokładnie 40 lat później, 22 marca 2008 roku, zeszła

tu kolejna wielka lawina (jej długość oceniono na 800 metrów). Tym razem jednak nie była procesem naturalnym, jak ta pod koniec lat 60. Wywołał ją przejeżdżający tamtędy dwudziestosześcioletni snowboardzista. Jego zwłoki na głębokości ponad 3 metrów pod powierzchnią śniegu odnaleźli ratownicy z Grupy Karkonoskiej GOPR i czeskiej Horskéj Služby po



Szczyt lawiny w Białym Jarze, 1968 rok / autor nieznany, źródło: Wikipedia

trwających niemal dobę poszukiwaniach.

Biały Jar to jednak nie tylko nieujarzmiona przyroda. Wiązą się z nim także inne legendy i opowieści. Możliwe, że skarbów poszukiwali tu już Walończycy. W XIX wieku dotarli tu górnicy, po których pozostać miały co najmniej dwa – nieodnalezione do dziś – szyby: Gustaw i Heinrich. Obydwa są wymie-

niane w kontekście "złota Wrocławia", czy Bursztynowej Komnaty.

Dużo dalej poszedł znany wszystkim miłośnikom tajemnic i skarbów major Służby Bezpieczeństwa Stanisław Siorek z Wrocławia, który połączył nazwiska dwóch ofiar tragedii w Białym Jarze właśnie z Bursztynową Komnatą. Byli to: pani Ingeborg Ringel z Zwickau i Bolesław Korolewski



Lawinisko w Białym Jarze, 1968 rok / autor nieznany, źródło: Wikipedia

z Warszawy. Ringel było pseudonimem, pod jakim enerdowski "Freie Welt" zidentyfikował oficera Abwehry mogącego być jednym z ukrywających Bursztynową Komnatę w Prusach Wschodnich; zaś Krolewski (różnica tylko o jedną literkę "o") stał na czele komisji szukającej Bursztynowej Komnaty właśnie w Kaliningradzie.

Ponoć nawet tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa dzień wcześniej widział, jak jeden z Niemców biorących udział w feralnej wycieczce posługiwał się niemiecką(!) mapą Karkonoszy. Były na niej zaznaczone ołówkiem przynajmniej dwa punkty w rejonie Białego Jaru.

Niezależnie od tego, czy zafascynowała Was potęga przyrody, czy tajemnice historycznych skarbów w Białym Jarze - odwiedźcie Dolny Śląsk i wybierzcie się do Karpacza. Pamiętajcie jednak, aby zrobić to latem. Bo zimą Biały Jar nadal jest niebezpieczny, a biegnący przez niego szlak zamknięty dla ruchu tu-

rystycznego właśnie ze względu na zagrożenie lawinowe.

Jeśli natomiast chcecie zobaczyć w zimie potęgę Karkonoszy, to wybierzcie się - tak jak owi feralni turyści - z Karpacza do Strzephy Akademickiej, jednak pójďte szlakiem żółtym poprowadzonym starym torem saneczkowym od dolnej stacji wyciągu krzesełkowego. Zajmie Wam to około półtora godziny i będzie bezpieczne, a przy dobrej pogodzie będziecie mogli z oddali i z góry spojrzeć na Biały Jar. Potem możecie jeszcze przejść do nieodległego Schroniska Samotnia, którego okolica ma nie mniej tajemnic, i wrócić do Karpacza Górnego szlakiem niebieskim - również z odcinkiem zamkniętym w zimie (wyznaczone jest stałe obejście) ze względu na zagrożenie lawinowe.[•]

Autor jest informatykiem, specjalistą od serwisów internetowych i marketingu. Interesuje się historią, turystyką i kolejnictwem. Uwielbia bliższe i dalsze wycieczki, szczególnie w poszukiwaniu dolnośląskich ciekawostek i tajemnic.

A human skull is positioned in the foreground, resting on a bed of dry leaves and grass. Behind it, a large, moss-covered tree trunk rises vertically. The background is a blurred forest scene with bare trees, suggesting an autumn or winter setting. The overall mood is somber and mysterious.

Odkryj Dolny Śląsk!







Świdnica

Fascynujący świat detalu

AGNIESZKA LATOCHA

W turystycznych wędrówkach na ogół skupiamy się na miejscach wyjątkowych i obiektach spektakularnych – kościołach, ratuszach, pałacach i zamkach. Naszej uwadze umykają natomiast detale, mniejsze budowle przy bocznych uliczkach i w zaułkach, czy architektoniczne szczegóły. A te nierzadko są w stanie opowiedzieć wiele historii i zdradzić niejedną tajemnicę.

W ramach projektu „I małe jest piękne”, który został zrealizowany przez Miasto Świdnica wspólnie z partnerami czeskimi – Miastem Trutnovem i Stowarzyszeniem Podzvicinsko – jego twórcy zachęcają nas do uważnego rozejrzenia się wokół, by dostrzec niezwykle bogactwo drobnych obiektów i detali architektonicznych, które licznie występują na polsko-czeskim pograniczu.

Świdnica jest doskonałym miejscem do odkrywania dziejów mia-

sta, jego legend, a nawet indywidualnych historii mieszkańców, poprzez symbolikę szczegółów, na które zwykle nie zwraca się uwagi, przemieszczając się pomiędzy ikonami turystycznymi, takimi jak Kościół Pokoju, katedra czy fontanna Neptuna. A tymczasem na uważnego przechodnia czekają dziesiątki historycznych i legendarnych postaci.

Figury, popiersia, medaliony z wizerunkami świętych chrześcijańskich, bogów i herosów mitologii



greckiej i germańskiej, czy „zwykłych” śmiertelników – dawnych właścicieli budynków – spoglądają na przechodniów ze wszystkich stron. Szczególnie często spotkamy postać Hermesa – mitycznego boga kupców, podróżnych oraz złodziei.

Ta powszechna obecność Hermesa nie powinna dziwić, gdyż Świdnica swą wielowiekową potęgę zbudowała właśnie na handlu.

Hermes to także symbol wolnomularzy. W XIX wieku w Świdnicy działały aż trzy stowarzyszenia



Postać Hermesa górująca nad kolumną Trójcy Świętej na świdnickim Rynku
fot. Agnieszka Latocha

wolnomularskie. Ciekawostką jest to, że najbardziej znana postać Hermesa w mieście, która wieńczy kopułę jednej z secesyjnych kamienic w Rynku, miała symbolizować dominację wolnomularstwa nad religią chrześcijańską, bo znajdowała się w znacznie wyższym położeniu

niż jakiegokolwiek krzyż. To znaczenie mogło być jednak odczytane wyłącznie przez osoby wtajemniczone.

Symbole wolnomularskie, takie jak cyrkiel, trójkąt, koło zębate, kielnia i młotek, odnajdziemy jeszcze na kilku innych budynkach. Z kolei atrybutami Hermesa, które



Herb Fryderyka I Habsburga na portalu zamkowym / fot. Agnieszka Latocha



rozpoznany na wielu świdnickich obiektach, jest kaduceusz i skrzydlaty kapelusz.

Zaskoczenie mogą budzić liczne przedstawienia okrętów, które znajdują się na wielu fasadach budynków. Przecież ze Świdnicy daleko

jest do morza! Ale okręty na wzburzonych falach to kolejny symbol handlu i kupieckiej potęgi. Do tradycji handlu z odległymi nawet krajami nawiązują kolejne detale architektoniczne, jak wyrzeźbiona w drewnie postać Murzyna w bu-



Drewniana rzeźba Murzyna - dawniej na parterze kamienicy działła Zajazd Pod Murzynem / fot. Agnieszka Latocha

dynku dawnego Zajazdu pod Murzynem, twarz kobiety o egzotycznej urodzie, czy płaskorzeźba przedstawiająca słonia na elewacji dawnego sklepu kolonialnego.

W wielu przypadkach rozpoznanie symboliki ukrytej w architektonicznych detalach pozwala nam odgadnąć dawną funkcję budynku,

zachowaną czasem do dziś, czego przykładem jest ornament przedstawiający trąbkę pocztową na jednym ze wsporników okna nad głównym wejściem do gmachu poczty. Do najbardziej wybitnych obiektów tego typu należą cztery piaskowcowe rzeźby, przedstawiające kolejne etapy pracy w drukar-



Twarz kobiety o egzotycznej urodzie / fot. Agnieszka Latocha



ni, począwszy od zecera do czytelnika gazety. Znajdują się one nad wejściem do modernistycznego budynku dawnej drukarni i wydawnictwa Berglandhause.

Jest to jedyne upamiętnienie drukarstwa i działalności wydawni-

czej w formie architektonicznej na terenie Polski. Do dawnych zawodów nawiązują również często spotykane w płaskorzeźbach godła cechów rzemieślniczych lub przedstawienia profesji właściciela danej kamienicy, czego przykładem jest



Gotycki ołtarz na Chórze Mieszczańskim w katedrze świdnickiej. Przepuszczalnie dzieło Jana z Ołomuńca, ucznia Wita Stwosza / fot. Agnieszka Latocha

rzeźba sztygara oraz sąsiadujące z nią przedstawienia symboli pracy górnika i... postacie krasnale, które – jak wierzano – miały strzec górników w podziemnym świecie.

Nawiązań do legend w architektonicznych detalach znajdziemy

w Świdnicy znacznie więcej. Z kilku budynków spoglądają złowrogim okiem bazyliuszki, które w średniowieczu uznawane były za symbole zła, a nawet uosobienie samego diabła. Jedna z legend mówi o bazyliuszku, mieszkającym w piwnicy



Figury symbolizujące pracę w drukarni. W budynku przed wojną działała drukarnia i wydawnictwo Berglandhause / fot. Agnieszka Latocha



świdnickiej kamienicy, który został pokonany przez dzielnego rycerza, co upamiętnia wmurowany w jej narożnik płaskorzeźbiony wspornik. Do legendy o chciwym rajcy miejskim nawiązuje z kolei połączona postać mieszczanina umieszczona nad wejściem do kamienicy w Rynku, która już od XVII wieku nazywana jest „Pod Złotym Chłopkiem”.

Najbardziej wymowne nawiązanie do średniowiecznych legend znajdziemy w katedralnej krypcie z I połowy XIV wieku. Postacie, które tworzą wsporniki, podpierające żebra sklepienia krypty, mają symbolizować świat podziemi, ciemności i grzechu. Rozpoznamy tu sylwetkę diabła, żyda, Saracena (co nawiązywało do wypraw krzyżowych) oraz... kobiety, która w śre-

Płaskorzeźby na wspornikach podpierających żebra sklepienia katedralnej krypty. Na kolejnych zdjęciach: diabeł, saracen, żyd i kobieta / fot. (x4) Agnieszka Latocha



dniowiecu uznawana była za istotę nieczystą.

Szczególnie warto przyrzeć się pozie, w jakiej został przedstawiony diabeł. Jeden palec trzyma on w ustach, drugi – w odbycie. Ta pozornie nieprzyzwoita poza może mieć zupełnie niewinną interpretację – można ją uznać za symbol templariuszy, gdzie palec w ustach oznacza tajemnicę milczenia, a palec w odbycie – wtajemniczenie. Niewykluczone, że budowa krypty

mogła mieć związek z działalnością templariuszy, jednak jej pierwotne przeznaczenie nie zostało poznane.

Niektóre ze świdnickich rzeźb i płaskorzeźb mają charakter apotropaiczny, czyli magicznych wyobrażeń, które miały bronić właścicieli budynków przed wszelkim złem – złymi duchami, klęskami i chorobami. Takimi architektonicznymi „amuletami” są na przykład często spotykane na budynkach kamienne lwy – w większości sym-





Wnętrze XIV-wiecznej krypty w katedrze
świdnickiej / fot. Agnieszka Latocha

bolizują one strażników i opiekę. Lwy mogą także nawiązywać do scen biblijnych, jak gotycka płasko-rzeźba na wsporniku w jednym z narożników kamienicy w Ryńku. Przetawia ona walkę Samsona z lwem. Niektóre elementy architektoniczne, takie jak kamienne putta, trzymające symbole śmierci (czaszkę i klepsydrę), miały z kolei

skłaniać przechodniów do filozoficznej refleksji nad przemijaniem i marnością ludzkiego życia i dóbr doczesnych.

Powszechne było również zamieszczanie nad wejściami, w portalach bram, rzeźbionych przedstawień nazw dawnych obiektów użyteczności publicznej, jak np. korona w dawnym hotelu Pod Złotą Koroną



Renesansowy portal. Lwy symbolizują strażników i opiekunów domu. Postacie ludzkie w portalu to wizerunki właściciela budynku i jego żony / fot. Agnieszka Latocha



czy rzeźba gęsi nad wejściem do gospody Pod Żółtą Gęsią.

W detalach architektonicznych bardzo często pojawiają się również herby i symbole heraldyczne. Są to herby miast, księstw, państw (m.in. Królestwa Czeskiego), możnych rodów (m.in. rodziny von Nostitz – ostatnich właścicieli zamku książęcego w Świdnicy) i władców (m.in. Habsburgów). Szczególnie cennym

zabytkiem tego typu jest renesansowy portal zamkowy – najcenniejsza z nielicznych pozostałości po dawnej siedzibie władców.

Na portalu widnieje data 1537 i znajduje się herb Fryderyka I Habsburga, a pełny opis wszystkich jego tytułów został umieszczony na fryzie. Portal pochodzi z okresu odbudowy zamku po jego zniszczeniu przez pożar w 1528 roku.



Wielkie XIX-wieczne kamienice były symbolem handlowej potęgi ich właścicieli. Na frontonie medalion z głową Hermesa, boga kupców / fot. Agnieszka Latocha

Dom Pod Żółtym Chłopkiem. Figura w niszy nad portalem nawiązuje do legendy o chciwym rajcy miejskim / fot. Agnieszka Latocha





Na miejscu dawnego zamku powstał pod koniec XVII wieku klasztor kapucynów, a obecnie znajduje się kościół zielonoświątkowy.

Detale architektoniczne, które wymagają największego „zadarcia głowy w górę”, to zwieńczające szczyty budynków wiatrowskazy.

Mają różnorodne kształty: koguta, chorągiewki, iglicy z motywem roślinnym czy nawet dzika, nawiązującego do świdnickiego herbu.

Z kolei do bardziej nietypowych obiektów należą m.in. dwa pamiątkowe tzw. kamienie pokoju ustawione w 1791 roku. Wyryte na nich



"Kamienie pokoju" z XVIII wieku / fot. Agnieszka Latocha

łacińskie napisy mówią o nastaniu pokoju na całym świecie, co jest powodem chwały dla panujących.

Do innych unikatowych elementów małej architektury należą tzw. kamienie graniczne, które wyznaczają granicę zabudowań należących do dawnej twierdzy świdni-

ckiej, wzniesionej w połowie XVIII wieku, a rozebranej w drugiej połowie wieku XIX. Widniejące na nich litery FR nie doczekały się jednoznacznej interpretacji. Mogą one oznaczać króla Fryderyka (Fridericus/Friedrich Rex) lub obszar twierdzy (Festung Rayon).



Herb von Nostitzów, ostatnich właścicieli zamku w Świdnicy / fot. Agnieszka Latocha



S.V.B.
VMBRA ALTISSIMI.
ET
VMBRONE AVGVSTISSIMI.
CAROLVS R.
HAB. C.
QVAE DVITILLIA TEMPLVM.
S. S. TRINITATIS
ET AVGVSTINO SYMBOLA
CONSECRATVM
PORTA DVNO FAVSTRVCA
A. D. R.
MDCCXXX



NIE DOTYCZY
POJAZDOW PARAFII
KOŚCIELA POKOJU
ZAKATKA

Ozdobne wazy z XVIII wieku
w zwieńczeniu bramy
prowadzącej do Kościoła Pokoju
fot. Agnieszka Latocha



Figura barokowej Madonny Immaculata. Pierwotnie ustawiona była na szczycie budynku, symbolizując zaangażowanie właścicieli kamienicy (rodziny von Nostitz) w rekatalizację. W okresie pruskim, o dominacji protestantyzmu, została przeniesiona na boczną ścianę. / fot. Agnieszka Latocha



Mitologiczni atlanci podpierają balkon
eklektycznej kamienicy / fot. Agnieszka Latocha



W projekcie „I małe jest piękne” znalazły się 132 detale architektoniczne z terenu Świdnicy. Można się z nimi zapoznać zarówno poprzez albumowe wydawnictwo „Detale zabytków ziemi świdnickiej”, stronę internetową projektu oraz – najlepiej – bezpośrednio w przestrzeni miasta, przy użyciu specjalnie przygotowanej aplikacji z geolokacyjną grą miejską na urządzenia mobilne. Wędrówka szlakiem architektonicznych detali jest jednocześnie wyprawą przez wszystkie epoki i style architektury, od gotyku po czasy współczesne. Wybrane obiekty nie wyczerpują jednak bogactwa architektonicznych szczegółów, które

odkryć można w Świdnicy. Niezależnie, czy wyznaczoną trasą czy własnymi ścieżkami, z pewnością warto wybrać się na uważny i niespieszny spacer po świdnickich ulicach, by, rozszyfrowując detale zabytkowych budynków, uchylić rąbka tajemnic z historycznych i legendarnych dziejów miasta i jego mieszkańców.[•]

Autorka jest geografem i pracuje w Instytucie Geografii i Rozwoju Regionalnego Uniwersytetu Wrocławskiego. W swoich najnowszych badaniach zajmuje się przede wszystkim przemianami krajobrazu kulturowego na Dolnym Śląsku oraz relacjami człowiek-środowisko na przestrzeni dziejów. Poza pracą jej pasją są podróże, wędrówki, taniec i pisanie.





O psie, który jeździł koleją po Dolnym Śląsku #1

KAMILA PŁOCHOCKA

Raz na jakiś czas lubię wziąć psa i wyjechać za miasto. Nie zawsze mam czas na weekendowe lub dłuższe wypady, ale kiedy wiem, że natura mnie wzywa, a życie w mieście staje się coraz bardziej uciążliwe, pozwalam sobie na jednodniową wycieczkę za Wrocław. Najlepsze jest to, że dzięki położeniu Wrocławia i całkiem niezłej sieci połączeń kolejowych, mogę w kilka godzin znaleźć się w niższych lub wyższych górach





W ostatnią niedzielę tak właśnie zrobiłam: spakowałam do plecaka kilka kanapek, zaparzyłam termos herbaty, wzięłam garść psich smakołyków, kaganiec i długą smycz. No i Jussi oczywiście. I pojechałyśmy na dworzec. Za cel obrałyśmy sobie trasę od Barda do Kłodzka. Według mapy jakieś pięć i pół godziny spaceru, trochę ponad 17 kilometrów i dwa szczyty. Idealny plan na leniwą zimową niedzielę.

Do Barda można dojechać ze stolicy Dolnego Śląska w godzinę

i piętnaście minut. W sam raz na poranną drzemkę. Pociągi kursują niemal co godzinę, a bilet kosztuje niecałe 20 zł (plus 4,5 zł za psa).

Ponieważ nie byłyśmy pewne, jaką zastaniemy pogodę oraz byłyśmy spragnione kontaktu z naturą, nie spędziłyśmy ani chwili na zwiedzaniu miasteczka i od razu udałyśmy się na szlak. Muszę przyznać, że Bardo dba o pieszego turystę, a znalezienie informacji o trasie spaceru było banalnie proste. Szlak w kierunku Kłodzka jest bardzo





dobrze oznaczony i ani razu nie miałymy problemu z odnalezieniem naszej trasy.

Nie będę kłamać – już pierwsze pięć minut spaceru sprawiło, że chciałam wracać na pociąg. Droga na Kalwarię jest stroma, a do tego była delikatnie oblodzona. Jussi ze swoimi czterema łapami dawała sobie świetnie radę, natomiast ja miałam trochę problemów z utrzymaniem równowagi.

Idąc w górę, mijamy drogę krzyżową, a właściwie dwie drogi, które

przecinają się w pewnym momencie. Jest też przeurocza kapliczka ze Źródełkiem Marii, z którego bije świeża woda dla wszystkich, którzy przecenili swoją kondycję fizyczną.

Po tym pierwszym wzniesieniu droga staje się łagodniejsza, a tuż przed samym szczytem jest ławeczka i miejsce idealne do zadumy i podziwiania widoków. Na szczycie minęliśmy barokową kapliczkę wybudowaną jeszcze w 1619 roku i kontynuowałyśmy swoją wędrówkę. Tuż za Bardzką Górą Jussi za-





częła się zachowywać nieco nerwowo. Początkowo myślałam, że może jest po prostu zmęczona spacerem, ale kiedy zaczęła szczeekać w kierunku zbocza góry, zrozumiałam - zobaczyłam, że wywachała rodzinę dzików, udającą się na niedzielny obiad. Nie zdążyłam niestety zrobić zdjęcia. Mam jednak nadzieję, że nie popsuliśmy im apetytu.

Po tym spotkaniu, aż do Przełęczy Łaszczowej (czyli jakąś godzinę drogi), Jussi była najgrzeczniejszym psem na świecie, idąc przy nodze

i nie oddalając się ani na chwilę. Na przełęczy zastałyśmy dogasające ognisko i rodzinę, która wracała z sanek. Zrobiliśmy tam sobie mały przystanek na herbatę i kromkę chleba, aby nabrać sił przed kolejnym i zarazem najwyższym szczytem naszej wyprawy.

Jeśli wcześniej ucieszyłyśmy się ze śniegu, teraz zastałyśmy prawdziwą zimę. Im wyżej się wspinałyśmy, tym większe zasy musiałyśmy pokonywać. Ścieżka zrobiła się też bardziej stroma, więc naprawdę





zaczęłam zazdrościć Jussi czterech łap. Dwa razy musiałyśmy przechodzić nad powalonym drzewem, ale widoki skutecznie wynagradzały nam trudy wspinaczki. Kłodzka Góra, mimo że należy do Korony Gór Polski, jest o 8 metrów niższa niż szczyt tuż obok, czyli Szeroka Góra.

Aby zatem dojść do prawie najwyższego szczytu, trzeba wspiąć się na Ostrą Górę i Gajnik, ale te wejścia nie sprawiają żadnego problemu. Tuż przed Kłodzką Górą las wyglądał naprawdę bajkowo,

z wielkimi poduchami śniegu na gałęziach drzew iglastych i pięknie oszronionymi drzewami liściastymi.

Sam szczyt łatwo jest zgubić, bo znajduje się na lewo od znaku. Warto jednak wejść trochę głębiej w las, ponieważ na szczycie znajduje się skrzynka, w której można przybić pieczęć. Możliwe, że jest tam również punkt geocatchingu ale jeśli o niego chodzi, nie trzymajcie mnie za słowo.

Ponieważ uwielbiam chodzić po górach, ale nie lubię wchodzić pod





górze, ostatni szczyt jest zawsze dla mnie wielką radością: od teraz już tylko spacer w dół. Moja radość zazwyczaj jest słodko gorzka, gdyż rzadko kiedy spacer w dół wiąże się z pięknymi widokami. Ale nie tutaj. Trasa biegnie w taki sposób, że schodząc z Kłodzkiej Góry możemy podziwiać panoramę Kłodzka i pobliskich wiosek, a w oddali rysują się wspaniałe sudeckie szczyty.

Im niżej schodziłyśmy, tym więcej mijałyśmy niedzielnych spacerowiczów i dzieci z sankami, korzy-

stających z uroków zimy. Trasa do Kłodzka wiedzie przez malownicze łąki, a biała zimowa mgielka i promienie słońca sprawiały, że czułam się jak na obrazach francuskich impresjonistów. Zdecydowanie jest to jedna z najładniejszych tras, jakie zrobiłam w tej okolicy.

W samym mieście znakowany szlak zaprowadził nas na dworzec Kłodzko Główne. Ponieważ okazało się, że mamy około 10 minut do pociągu odjeżdżającego do Wrocławia, a byliśmy nieco zmarznęte





i głodne, zwiedzanie miasta zostawiłyśmy sobie na lato.

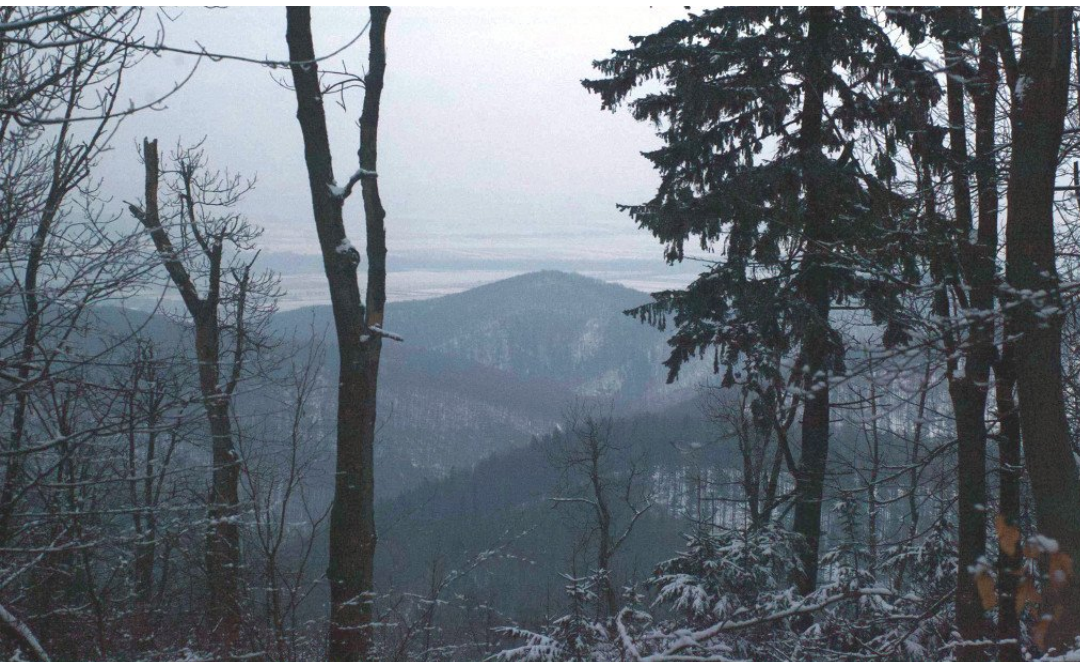
W pociągu Jussi spała jak zabieta, aż pan konduktor musiał zajrzeć pod siedzenie, czy na pewno wiem, co robię, kupując bilet dla siebie i dla psa (tym razem bilet kosztował 20 zł + 4,5 zł za Jussi).

Podsumowując, korzystanie z atrakcji Dolnego Śląska, dzięki PKP jest naprawdę ciekawe i niedrogie, a do tego nie trzeba kręcić się w kółko. Można zacząć spacer na jednej stacji kolejowej i zakończyć

go na zupełnie innej, bez martwienia się o powrót do samochodu. Do tego pociągi kursują na tyle często, że wyjątkowo trzeba czekać dłużej niż godzinę na odjazd.[•]

Autorka bloga zapsiepieniadze.pl, na którym opisuje swoje wyprawy udowadniając, że podróże są możliwe nawet z psem i małym budżetem. Niepokojna dusza, która po wielu przeprowadzkach znalazła swoje miejsce na ziemi na wrocławskim Nadodrzu. Po tygodniu ciężkiej pracy lubi spakować plecak, aparat i wyruszyć z psem w nieznaną.

wszystkie zdjęcia od autorki



Odkryj Dolny Śląsk!



Młyn papierniczy w Dusznikach-Zdroju
fot. Wojciech Głodek, 21 stycznia 2018 roku





50 lat Muzeum Papiernictwa

MARTA NOWICKA

Muzeum Papiernictwa w Dusznikach-Zdroju mieści się w jedynym zachowanym w Polsce młynie papierniczym, pochodzącym sprzed 1562 roku. Instytucja od 50 lat zajmuje się gromadzeniem, ochroną i udostępnianiem zbiorów związanych z papiernictwem, drukarstwem oraz historią Dusznik-Zdroju. W ciągu tego okresu zrealizowała wiele wydarzeń kulturalnych, naukowych i edukacyjnych, w których uczestniczyło ponad 2 miliony osób.

W 2011 roku, dzięki wysiłkom Muzeum Papiernictwa, dusznicki młyn papierniczy uznany został za Pomnik Historii. To wyróżnienie otworzyło drogę do podjęcia starań o wpisanie obiektu na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Rok jubileuszowy Muzeum Papiernictwa zainaugurowało wystawą „Signum Temporis” Tomasza Westrycha. Ekspozycja prezentuje rzeźby i płaskorzeźbione reliefy wykonane z papieru. Część z nich, nazwana przez autora Eratykami, przypomina kamienne głązy, spod powierzchni których wyłaniają się rysy twarzy (eratyk = fragment skały litej, przeniesiony przez ładolód; głąz narzutowy). Tomasz Westrych jest absol-

wentem krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Stopień doktora uzyskał na macierzystej uczelni w 2005 roku. Obecnie pracuje jako adiunkt w I Pracowni Rzeźby na Wydziale Architektury Wnętrz ASP w Krakowie. Wystawa „Signum Temporis” udostępniana jest zwiedzającym do 15 lipca.

Na Dzień Kobiet przypadł wernisaż ekspozycji „Sitodruk z pracowni Dawida Hadara”. Artysta zawodowo związany z Muzeum Sztuki w Tel Awiwie, przy którym prowadził warsztaty sitodruku i fotografii, zaprezentował kolekcję grafik, którą udało mu się zgromadzić w ciągu 40 lat swojej działalności. Część z prac powstała podczas wspomnianych



zajęć, prowadzonych ze szczególnie uzdolnioną młodzieżą, część jest efektem spotkań z wybitnymi artystami, jak chociażby zmarłym w 2017 roku Yoslem Bergnerem.

Ekspozycję uzupełniono o serię grafik wykonaną przez młodzież z Miejskiego Zespołu Szkół w Dusznikach-Zdroju. Na wystawie nie zabrakło też dzieł samego artysty. Okazją do spotkania z Dawidem Hadarem będzie Noc Muzeów (19 maja), podczas której zaprezentuje on metodę druku sitowego.

Z myślą o dotarciu do szerszego grona odbiorców uaktualniona została „wędrująca” wystawa „Dzieje papieru i papiernictwa”. Ekspozycja przygotowana została we współpracy z jedną z najważniejszych firm z branży papierniczej – International Paper Kwidzyn. W 2001 roku wystawa wyróżniona została w konkursie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego na Wydarzenie Muzealne Roku.

Tournée po wybranych placówkach wystawa rozpocznie od Muzeum Podlaskiego w Białymstoku, następnie uda się do Muzeum w Ostródzie, a pod koniec roku od-

wiedzi Muzeum Ziemi Wałeckiej w Wałczu. Ekspozycja wyposażona została w interaktywne stanowisko prezentujące warsztat rękodzielniczej produkcji papieru.

Święto Papieru to największy w Polsce festyn rodzinny poświęcony upowszechnianiu wiedzy o papierze, jego historii, znaczeniu dla rozwoju cywilizacji oraz roli we współczesnym świecie. Organizowane jest od 2001 roku w ostatni weekend lipca. Układ stanowisk podczas Święta Papieru pomyślany został tak, aby odwiedzający rozpoczęli indywidualną ścieżkę edukacyjną od poznania materiałów i surowców papierniczych, następnie przeszli drogę wytwarzania papieru, badania jego cech i właściwości, barwienia historycznymi metodami oraz poznali techniki druku.

Festyn urozmaicają liczne konkursy, z których największym powodzeniem cieszy się tzw. trójbój papierowy. Jedną z jego konkurencji jest podnoszenie papierowej sztangi, której waga wynosi ok. 20 kg. XVIII Święto Papieru odbędzie się 28 i 29 lipca 2018 roku i będzie wielkim przyjęciem urodzinowym na cześć



Tomasz Westrych, Brzmienie czasu - Niewolnik,
2016-2017, celuloza barwiona i drewno
fot. arch. Muzeum Papiernictwa w Dusznikach-Zdroju



Muzeum Papiernictwa (w końcu 50. urodziny ma się tylko raz w życiu!). Podczas Świąt otwarte zostaną dwie wystawy: „50 lat Muzeum Papiernictwa. 1968-2018” oraz „Sztuka papieru ze zbiorów Muzeum Papiernictwa”.

Pierwsza z nich będzie zestawieniem wybranych obiektów reprezentujących najważniejsze kolekcje muzealne: papiery ręcznie czerpane, do wytwarzania których używano włókien pozyskiwanych ze szmat lnianych, konopnych i bawełnianych; papiery wzorzyste i maszynowe; aparatura laboratoryjna służąca do badania właściwości papieru; wzorniki papierów; zabytkowe sita czerpalne; ekslibrisy; dokumenty identyfikacyjne, m.in.: paszporty europejskie z XIX wieku oraz najciekawsze obiekty z kolekcji numizmatycznej. Całość uzupełni „Papierowa Aleja Gwiazd”, czyli kolekcja odcisków dłoni znanych osobistości, które odwiedziły dusznickie Muzeum i zgodziły się odbić swoją dłoń w masie papierowej.

W ubiegłym roku w Muzeum Papiernictwa powstała pierwsza w Polsce galeria dedykowana wystawom

z zakresu tzw. sztuki papieru. Ta gałąź sztuki współczesnej sięga korzeniami początku XX wieku i związana jest z prekursorami kubizmu, Pablem Picassem i Georges'em Braque'em. W swojej twórczości obaj malarze łączyli skrawki tapet oraz tkanin z pracami malarskimi, używając w ten sposób kolaże. Z tego typu działań w latach 60. XX wieku wyodrębniła się nowa dziedzina sztuki – sztuka papieru, dla której papier stał się tworzywem, a nie tylko podłożem dla obrazów, grafik czy dzieł literackich.

Muzeum Papiernictwa od ponad 20 lat gromadzi obiekty, do wykonania których artyści używają pulpy papierniczej, makulatury lub włókien roślinnych. Jubileusz 50-lecia jest doskonałą okazją do ich zaprezentowania. Ekspozycja przystosowana została dla osób niepełnosprawnych ruchowo, wzrokowo i słuchowo.

26 września w Muzeum Papiernictwa odbędzie się Konferencja Jubileuszowa. Na uroczystość zaproszeni zostaną m.in. przedstawiciele zabytkowych młynów papierniczych w Velkich Losinach i Hom-



burgu, z którymi w 2017 roku podpisany został list intencyjny o współpracy w celu transgranicznego wpisu na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Konferencja będzie też okazją do odznaczenia zasłużonych pracowników dusznickiego Muzeum oraz promocji „Monografii młyna papierniczego w Dusznikach-Zdroju”. Wydawnictwo będzie pierwszym tak obszernym zestawieniem informacji na temat tego ponad 400-letniego zabytku.

Przegląd jubileuszowych wydań zakończy wystawa „Waluta Niepodległej”, której wernisaż odbędzie się 9 listopada. Ekspozycja zaprezentuje polską walutę dwudziestolecia międzywojennego, m.in.: marki polskie i banknoty złotowe np. stużłotówkę z 1932 roku, zaprojektowaną przez Józefa Mehoffera, polskiego malarza okresu Młodej Polski. Przez wielu kolekcjonerów banknot ten uważany jest za najpiękniejszy spośród wszystkich polskich banknotów. [•]

Autorka pracuje w Dziale Promocji i Wydawnictw Muzeum Papiernictwa w Dusznikach-Zdroju.

Smaki Dolnego Śląska

smaki.przystanekd.pl





Szlakiem dolnośląskich winnic

Winnica Alvarium

MACIEJ CIURLA

Kontynuując wątek enologicznego odkrywania Dolnego Śląska z wysokości siodełka rowerowego, zapraszamy do odwiedzenia wraz z nami Winnicy Alvarium, prowadzonej przez niezwykle gościnną rodzinę państwa Biniarz: Jacka, jego żonę Barbarę i syna Piotra. Winnica mieści się w miejscowości Ostaszów na terenie Przemkowskiego Parku Krajobrazowego. Ten liczący 22 tysięcy hektarów park leży w powiatach polkowickim i bolesławieckim, na terenie Borów Dolnośląskich.



To okolica idealna dla szukających kontaktu z dziewiczą naturą. Można tu zobaczyć wały śląskie, które są prawdopodobnie umocnieniami z początków państwowości Słowian. Ciągną się one od Gromadki do Przemkowa i dalej wzdłuż rzeki Bóbr.

W okolicy Piotrowic rośnie dąb Chrobry, uważany za najstarszy dąb szypułkowy w Polsce. Inne atrakcje to Stawy Przemkowskie, Torfowisko Borówki, Buczyna Szprotawska, Łęgi Źródłiskowe. Ruchome wydmy śródlądowe o długości 6 kilometrów

(między Przemkowem a Wilkocinem), sięgają nawet dwudziestu metrów wysokości. Ogromne wrażenie robią kwitnące wczesną jesienią wrzosowiska, których powierzchnia sięga trzech tysięcy hektarów.

Nazwa winnicy kryje swój mały sekret. Właściciele nim na poważnie zabrali się za uprawę winorośli i produkcję wina, prowadzili i dalej z powodzeniem prowadzą pasiekę. Nazwa winnicy "alvarium" oznacza po łacinie ul.

Z czasem łagodny klimat, spokojna okolica i odpowiednia gleba





nasunęła im pomysł założenia winnicy, co nastąpiło w latach 2011-12. Powierzchnia nie jest duża – 0,35 ha, ale są już bardzo poważne plany powiększenia jej o nową parcelę. Uprawiane tu odmiany winorośli to: Regent, Rondo, Solaris, Johanniter, Riesling i Gewurztraminer.

Gościnne podjęcie nas przez państwa Biniarz było czymś znacznie więcej niż to, co zwykle rozumie się pod pojęciem „degustacja”. Zostaliśmy oprowadzeni po winnicy, gdzie pan Jacek niezwykle barwnie

opowiadał o uprawie winorośli i ciężkiej pracy, jaką trzeba włożyć, by cieszyć się winem własnej produkcji: o przycinaniu krzewów, o konieczności zabezpieczania owoców przed szkodnikami i chorobami, o wpływie pogody na wielkość i jakość zbiorów.

Potem gospodarze zaprowadzili nas do małego zakładu produkcyjnego, abyśmy mieli możliwość przyjrzeć się z bliska niektórym fazom procesu wytwarzania wina, a było to wyciskanie prasą soku z kłoci winogron (każdy z nas miał



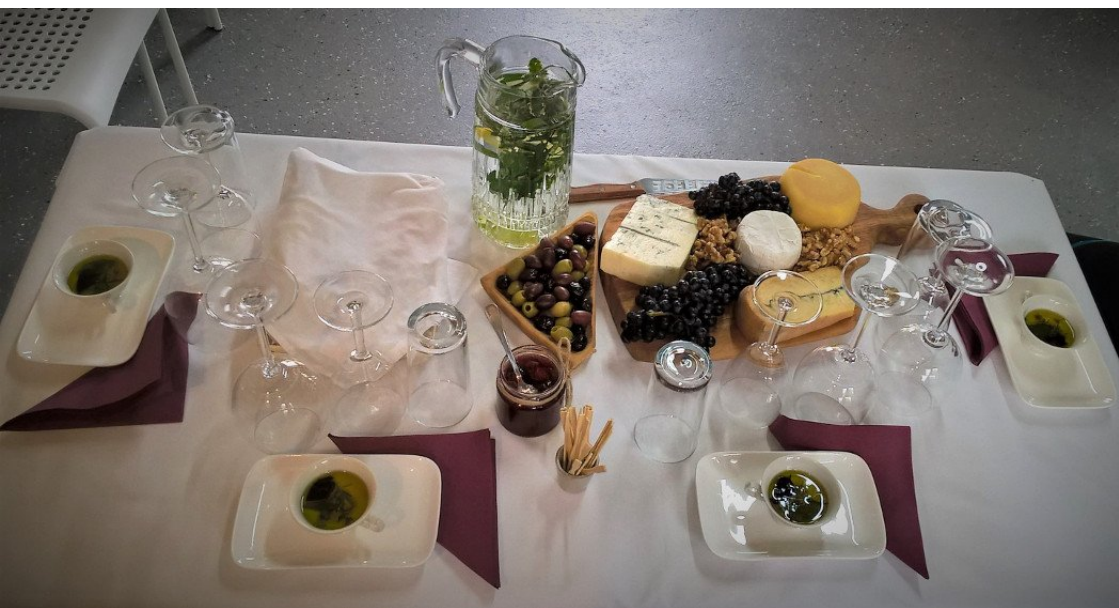
możliwość spróbowania) oraz oznaczanie poziomu kwasowości w podręcznym laboratorium. W prowadzeniu winnicy wspiera gospodarzy syn Piotr, absolwent i aktualnie doktorant biotechnologii na Uniwersytecie Wrocławskim. Kierunek studiów zapewne nie został wybrany przypadkowo...

Na koniec czekał na wszystkich stół uginający się od specjałów lokalnej produkcji. Degustacja zamieniła się niebawem w biesiadę wypełnioną opowieściami o winie i winiarstwie, a gospodarze okazali

się wspaniałymi gawędziarzami, zakochanymi w okolicy.

Tytułem uzupełnienia należy dodać, że na miejscu oprócz wina można zakupić miód, zioła i ozdoby z lawendy, zaprojektowane i wyprodukowane przez panią Barbarę.

Państwo Biniarz prowadzą równoległe niewielkie gospodarstwo agroturystyczne z noclegiem dla dwóch osób. W sezonie letnim na terenie winnicy jest możliwość rozbicia namiotu lub ustawienia przyczepy kempingowej. Właściciele oprócz możliwości wzięcia





udziału w degustacji (jak to było w naszym przypadku), zapraszają również do uczestnictwa w warsztatach z zakresu prac w winnicy, a także przy zbiorze i przetwarzaniu owoców.

Propozycja wycieczki (38 km)

W opisywany rejon dobrze jest pojechać jednym z porannych pociągów w kierunku z Legnicy do Żar i wysiąść na którejś z niewielkich stacyjek: Modla, Wierzbowa Śląska

lub Studzianka. Stamtąd, przez przepiękne lasy Przemkowskiego Parku Krajobrazowego, kierujemy się przez Przemków do Ostaszowa. Powrót przez te same leśne obszary, ale inną drogą, przez miejscowość Biernatów do stacji Leszno Górne, skąd można wrócić do Wrocławia popołudniowym lub wieczornym pociągiem.[•]

Autor na co dzień pracuje jako specjalista IT. Czas wolny poświęca na poznawanie bliższych i dalszych okolic w towarzystwie grona przyjaciół pieszo, rowerem lub kajakiem.

wszystkie zdjęcia od autora



Odkryj Dolny Śląsk!



Czy gluten zabija?

Kluski, pierogi, makarony... Kto nie lubi ich smaku, kto nie zjadał się w dzieciństwie lub kto z chęcią nie sięgał po nie w dorosłym już życiu, ręka w górę!

Oczywiście wszyscy je lubimy. Nasze „narodowe” pierogi ruskie, przepyszne kluski śląskie obowiązkowo podawane z czerwoną kapustą i roladą na niedzielny obiad lub gotowane i zapiekane makarony...

Ostatnio jednak coraz więcej osób przechodzi obok tych smakołyków obojętnie, a szukając w menu dania dla siebie, **rozmyślnie omija wszystkie wyżej wymienione**. Powód takiego postępowania jest jeden i nazywa się gluten.

Gluten to białko roślinne występujące w nasionach pszenicy, żyta i jęczmienia. To właśnie gluten powoduje, że nasze wypieki są pulchne, elastyczne i zachowują świeżość w kilka jeszcze dni po przygotowaniu. Mimo tych zalet może jednak szkodzić – są wśród nas osoby, które mają szczególnego rodzaju nietolerancję pokarmową, czyli celiakię, której nie da się wyleczyć i która powoduje, że organizm na wszelkie dawki glutenu reaguje po prostu źle.

Dotyczy ona jedna 1% naszego społeczeństwa, dodatkowo 3-5% z nas cierpieć może na alergię na gluten bądź cechować się pewną nadwrażliwością na jego występowanie. I to tyle. Wszystkie pozostałe osoby gluten tolerują i powinny się zastanowić nad jego



unikaniem, bo – jak w przypadku każdej diety eliminacyjnej – możemy sobie w większym stopniu zaszkodzić niż pomóc. Warto taki krok skonsultować zawsze z dietetykiem.

Nie dyskutujemy zatem z tym, że są osoby, którym gluten szkodzi. Zgodzić się jednak wypada, że mamy teraz swego rodzaju modę na produkty czy jedzenie „bez” – bez laktozy, bez cukru, bez glutenu. Na przekór tej modzie, a w sukurs wszystkim lubującym się w kluskach i kluseczkach, przychodzi Gluten Appetit.

Nowoczesny, urządzone ze smakiem, utrzymany w odcieniach zieleni lokal stylizowany nieco na bar mleczny we Wrocławiu jest rajem dla wszystkich, którzy nie wyobrażają sobie życia bez pierogów. Nic więc dziwnego, że

wybór jest bardzo duży: są pierogi ruskie, z mięsem, takie z kaszą gryczaną, z serkiem ricotta, są też szpinakowe – nie tylko nadziane szpinakiem, ale i zielone! Nadzienie ma ostry, wyrazisty smak, ciasto jest delikatne i cienkie, a całości dopełnia lekki sos na bazie jogurtu.

Spróbowaliśmy również makaronu z pulpecikami, który także polecamy. Po pierwsze dlatego, że makaron był bardzo dobrze ugotowany. Po drugie – z uwagi na sos, w którym znaleźć można było kawałki pomidorów i który miał delikatny świeży smak, bez wszechobecnego przecieru (o keczupie nie wspominając). Po trzecie natomiast z racji takiej, że pulpeciki były przepyszne. [jk]

smaki.przystanekd.pl





Zgorzelec Miasto zniknie?

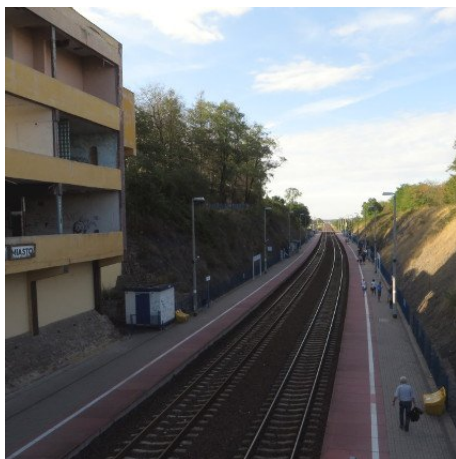
Dworzec Zgorzelec Miasto od lat budzi tak silne emocje, że warto po krótko przypomnieć jego historię. Zaczniemy jednak od "prastacji" Zgorzelec Miasto, bo mało kto dziś pamięta, że do lat 70. XX wieku rolę tę pełnił ... drewniany barak mieszczący prawdopodobnie prowizoryczną kasę i poczekalnię dla podróżnych. Wybudowano go obok istniejącej do dziś nastawni obok przejazdu kolejowego.

Nowy dworzec oddano do użytku około 1975 roku. Od tamtej pory nazwa PKP Zgorzelec Miasto nieodłącznie związana jest z charakterystycznym budynkiem na skarpie, u podnóża której, w bazaltowym wąwozie, wytyczono dwa perony kolejowe.

Lata świetności dworca to druga połowa lat 70. i pierwsza połowa lat 80. Wtedy na dworcu działało kilka kas biletowych, przechowalnia bagażu, kiosk, kwiaciarnia, świetlica z biblioteką dla uczniów i pomieszczenie socjalne dla załóg kolejarskich na piętrze, toalety, gastronomia oraz poczekalnia dla podróżnych.

Teren przed dworcem zdołały ozdobić szklane, podświetlane po zmroku gabloty, w których eksponowano modernistyczne kolorowe wazony i klosze produkowane w Pieńskich Hutach Szkła oraz pomniejszona w skali kopia pomnika Orła Piastowskiego ze zgorzeleckiej nekropolii wojennej.

Od drugiej połowy lat 80. budynek stopniowo pustoszeje, pojawiają się w nim żebracy, PKP zamyka dwie



z trzech kas biletowych. Lata 90. to czas coraz większej degradacji pięknego kiedyś budynku, aż do jego całkowitego zamknięcia.

W następnych latach o przejęcie niszczonego dworca zabiegały władze Zgorzelca, jednak PKP nie były zainteresowane oddaniem budynku. Chciały go sprzedać i to wcale nie tanio. Udało się to dopiero w 2008 roku, a rok później nabywca kupił od miasta też sąsiadującą działkę. W przeciwieństwie do działki PKP, sprzedaż miejskiej nieruchomości zabezpieczono zapisami nakładającymi na nabywcę obowiązek zagospodarowania terenu w określonym terminie. Niebawem okazało się, że to był bardzo dobry ruch, bo inwestor nie zdołał zrealizować swoich planów i w 2014 roku wpłacił 300 tys. zł

kary. Perspektywa kolejnych kar sprawiła, że w sierpniu 2015 roku właściciel przekazał gminie nie tylko działkę, którą od niej kupił, ale też działkę z budynkiem byłego dworca.

Na przełomie marca i kwietnia 2016 roku nieruchomości zostały wystawione na sprzedaż. Dopiero szósty przetarg doprowadził do sprzedaży dworca. Nabywcą nieruchomości zabudowanej budynkiem byłego dworca PKP Zgorzelec Miasto oraz przyległych działek jest Projekt Gostyń Sp. z o.o. Sprzedaż została zabezpieczona wpisami nakładającymi na nabywcę obowiązek zagospodarowania nieruchomości. Inwestor zapowiada, że w pierwszej kolejności planuje rozbiórkę byłego dworca. [kds]

kolej.przystanekd.pl





Zakochaj się w Dolnym Śląsku

Dolny Śląsk to kopalnia różnych atrakcji historycznych, architektonicznych, turystycznych i rekreacyjnych. To tajemnicza, poniemiecka kraina, w której miłośnicy historii odnajdą intrygujące podziemia, zamki jak z bajki oraz perełki architektoniczne w postaci świątyń, opactw, twierdz, wiaduktów, tuneli, mostów czy zapor.

Natomiast osoby lubiące kontakt z naturą pokochają Dolny Śląsk za piękne górskie krajobrazy, leśne tereny oraz liczne szlaki piesze i rowerowe. To tutaj jedni i drudzy amatorzy atrakcji uraczą swoje podniebienia pysznymi produktami lokalnymi (np. karpem milickim) oraz tradycyjnymi smakami Dolnego Śląska będącymi

mieszkanką kuchni polskiej, kresowej, niemieckiej i czeskiej.

Jako rodowita mieszkanka Dolnego Śląska, amatorka biegania, pasjonatka gór, miłośniczka rowerowych i pieszych wycieczek, wielbicielka historii (zwłaszcza okresu II wojny światowej) oraz zwolenniczka wspierania lokalnych produktów postanowiłam poznać ten rejon bardziej oraz pokazać, że Dolny Śląsk to kraina różnorodności, w której naprawdę każdy znajdzie coś dla siebie.

I właśnie moją relacją ze spontanicznej wycieczki nad Zalew Mietkowski otwieram cykl tekstów, w którym znajdą się relacje z biegów (górskich, ulicznych, przełajów), propozycje wszelkiego rodzaju wycieczek oraz wrażenia z podróży małych i dużych.



Na terenie Parku Krajobrazowego Doliny Bystrzycy, około 35 km od Wrocławia jest wieś, która poza sezonem wygląda jak zapomniana marina, a w sezonie to tętniąca życiem przystań dla amatorów plażowania, regat i sportów wodnych. Podobno to raj dla wędkarzy i ornitologów. (...)

Półmaraton Mietkowski to bieg wokół Zalewu Mietkowskiego, czyli bieg z gwarancją pięknych okoliczności przyrody, z widokiem na Ślężę, z pagórkowatą i wietrzną trasą. Start i finisz półmaratonu znajduje się przy przystani w Borzygniewie.

Może nie w tym roku, ale w przyszłości Bieg Mietkowski znajdzie się na mojej liście biegów zaliczonych.

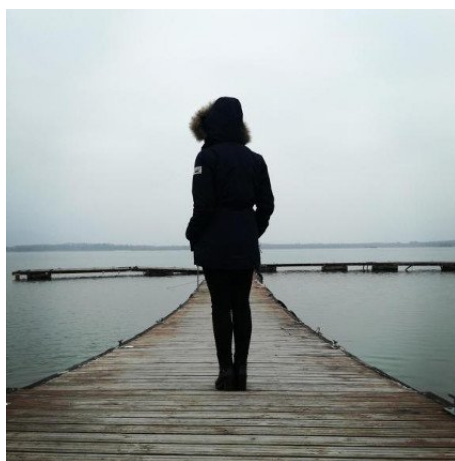
Przyjeżdżając do Borzygniewu nie myślałam, że zastanę tu taką ciszę

i spokój. Jeśli chodzi o warunki pogodowe, faktycznie bardzo wietrzne miejsce. Stojąc na pomoście wpatrzona w horyzont czułam podmuchy z każdej strony. W upalną pogodę ta otwarta przestrzeń i wiaterek musi być ogromnym plusem dla plażowiczów.

Miałam wielką nadzieję, że z przystani w Borzygniewie zobaczę idealny dla mnie krajobraz, czyli widok łączący w sobie góry i wodę. Niestety przez zachmurzone niebo nie udało się zobaczyć majestatycznej góry.

Dlatego jeszcze tu wrócę, w czasie, kiedy oprócz wiatru będzie słychać w tle szanty, a miejsce to zatętni życiem w oddali ukazując żaglówki i Ślężę na horyzoncie. [Daria Kowalska]

bepositiveandrun.com





piotr.weber #lokomotywa #sm42 #sm42_2508
#stonka #dolkom #dolnyslask
#liniakolejowanr286 #kolejapodolnymśląsku ...



piotr.weber #miasto #city #jeleniagora #cieplice
#jeleniagoracieplice #dolnyslask
#przystanekdolnyslask #tajemniczydolnyslask ...



piotr.weber #wiadukt #wiaduktkolejowy
#nowaruda #lokomotywa #ciuchcia
#lokomotywatkt48_18 #muzeumkolejnictwa ...



piotr.weber #przystanekkolejowy #bardoslaskie
#bardo #lokomotywa #st43 #rumun #pkp
#pkpcargo #dolnyslask #przystanekdolnyslask ...



piotr.weber #wroclaw #wroclawmuchobór
#pociąg #impuls #31we #newag
#kolejedolnolaskie #dolnyslask ...



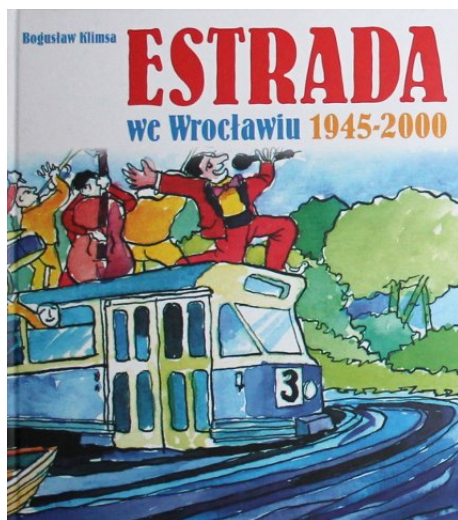
piotr.weber #pałac #pałac #wojanow #wojanów
#dolnyslask #przystanekdolnyslask #polska
#poland #travel #lubiepolse ...



piotr.weber #wiadukt #most #wiaduktkolejowy
#mostkolejowy #mgła #boleslawiec #dolnyslask
#przystanekdolnyslask #kolejapodolnymślasku ...



piotr.weber #most #mostkolejowy #nowaruda
#szynobus #sa135 #sa135_009 #pesa
#pesabydgoszcz #kolejedolnolaskie ...



Bogusław Klimsa, Jerzy Potyrała
Estrada we Wrocławiu 1945-2000

Wydawnictwo C2 2017
ISBN: 978-83-63037-24-6
408 stron, 238x270 mm
oprawa twarda

Co to jest muzyka rozrywkowa? „Niby proste pytanie, a wcale niełatwo i jednoznacznie na nie odpowiedzieć. O wiele łatwiej byłoby określić, jakiego rodzaju muzyki nie da się uważać za rozrywkową” (s. 9). Tymi słowami w kolejnym, trzecim już tomie poświęconym wrocławskiej muzyce i jej twórcom, Bogusław Klimsa zaprasza nas na estradę.

Analizując wrocławską scenę estradową, skupia się na składnikach i odmianach muzyki rozrywkowej, a także współtworzących ją elementach. Pokazuje nie tylko czasy, na które przypadł szczyt jej popularności, ale też początki, gdy tworzona była „chałupniczo lub najwyżej manufakturowo” (s. 7).

Tom bardziej niż poprzednie osobisty, z wieloma interesującymi wspomnieniami Autora, na przykład dotyczącymi współtworzonego przezeń w czasach licealnych zespołu dixielandowego (czy ktoś z Was, Drodzy Czytelnicy, wie w ogóle, cóż to była za muzyka?), kultowego klubu Pałacyk czy kabaretu, w którym występował.

Ludzie, wydarzenia, dźwięki. Mnóstwo zdjęć, reprodukcji plakatów, prasowych wycinków i okładek płyt, pomiędzy tym wszystkim zaś

fantastyczne ilustracje autorstwa Jerzego Potyrały. Przez kartki przewijają się cudowne głosy, niezapomniane piosenki i artyści, którzy na zawsze zdobyli miejsce w historii muzyki: Anna German, Jan Kaczmarek czy Ewa Szumańska.

Są klezmerzy, kabareciarze, aktorzy i iluzjoniści; spektakle, występy, widowiska i chałtury; są piosenki o Wrocławiu, hejnał miasta i tak bardzo wrocławskie Studio 202.

Książkę kończy lekki i swobodny rozdział, w którym o muzyce pisze Autor nieco niepoważnie: są anegdoty i żarty, które śmieszą (nie tylko) muzyków. Całość podzielona na 15 rozdziałów, opatrzona bibliografią i indeksem nazwisk.

Dla nas zdecydowanie tom III tej „muzycznej trylogii”, jak określił ją Autor, okazał się najciekawszy i najbardziej zajmujący. Może przez ten estradowy blask? Autorowi należą się podziękowania za ogromny trud i wysiłek kilkuletniej pracy, dzięki której mamy tak szeroko i szczegółowo udokumentowane opracowanie dotyczące, jak sam przyznaje, zazwyczaj pobłażliwie traktowanej dziedziny muzyki.

Bardzo gorąco Wam polecamy lekturę! [JK]



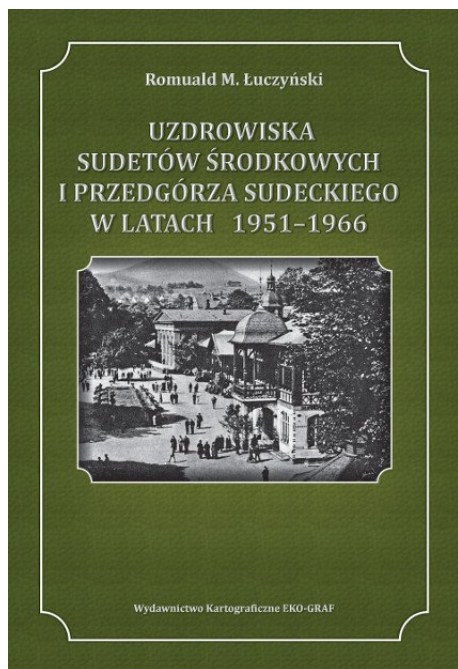
Czy wiesz, że...

Teatr Capitol to obiekt przedwojenny i już wtedy tak się nazywał?

Budynek wzniesiono pod koniec lat 20. XX w. na miejscu wyburzonych kamienic wg projektu Friedricha Lippa. Było to wtedy największe i najnowocześniejsze kino we wschodniej części Niemiec. Ówczesne przewodniki wymieniały go jako najpiękniejszy kinoteatr Europy, chwaliły elewację z glazurowanej cegły, błyszczące ściany i nowoczesne wyposażenie.

Z pożogi wojennej teatr ocalał w okrojonej formie - II wojnę światową przetrwała tylko środkowa część, mieszcząca właściwe kino z salą na 1200 miejsc. Zniszczeniu uległ fronton i kilka pięter, jednak już pod koniec 1945 roku ze względu na zachowaną salę utworzono tu kino "Śląsk". W 1964 roku przeniosła się tu Operetka Dolnośląska, działająca wcześniej w budynku Opery.

[wg/fot. autor nieznany, koniec lat 20. XX w.]



Romuald M. Łuczyński
**Uzdrowiska Sudetów
Środkowych i Przedgórze
Sudeckiego w latach 1951-
1966**

Wyd. Kartograficzne Eko-Graf 2015
ISBN: 978-83-61157-52-6
208 stron, 162x237 mm
oprawa miękka

Pierwsza połowa lat 50. XX wieku to niewątpliwie jeden z najtrudniejszych okresów w polskiej historii. To również czas, „kiedy w różnych dziedzinach życia w Polsce wprowadzano wzorce radzieckie, uznając je za najlepsze, najbardziej postępowe w świecie. Nie ominęło to oczywiście także działalności uzdrowiskowej, kiedy to wprowadzono nowe metody kuracji uzdrowiskowej, wzorując się oczywiście na doświadczeniach radzieckich.” (s. 10) Tymi słowami R. Łuczyński zaprasza nas do świata kurortów w Sudetach Środkowych i na Przedgórzu Sudeckim funkcjonującym w latach 1951-1966. Zakres dat jest nieprzypadkowy: początek to powołanie Centralnego Zarządu Uzdrowisk (1 stycznia 1951), koniec zaś – wejście w życie ustawy o uzdrowiskach i lecznictwie uzdrowiskowym z 17 czerwca 1966 r.

W kolejnej książce poświęconej dolnośląskim uzdrowiskom dowiedzieć się sporo możemy o Szczawnie-Zdroju, Jedlinie-Zdroju oraz Przerzeczynie-Zdroju, parę słów poświęcił Autor również Starym Bogaczowicom – miejscowości położonej nieopodal Szczawnia-Zdroju, w której swego czasu funkcjonowała pijalnia wód mineralnych, a w planach była m.in. budowa inhalatorium.



Całość poprzedza ogólny wstęp, z którego możemy dowiedzieć się m.in., że dzienna norma wędlin na osobę podczas pobytu w uzdrowisku wynosiła 50 g, a wyjeżdżającym z uzdrowiska kuracjom przysługiwał suchy prowiant o wartości energetycznej ok. 1200 kalorii; że w latach 50. zakładano biblioteki sanatoryjne i że odgórnemu unormowaniu podlegały także uzdrowskie dekoracje: „jeden komplet portretów dostojników państwowych, a także czerwone i białe płótna, hasła i obrazki..” (s. 18).

Piękne, staranne wydanie, interesujący tekst, przystępny styl, a przy tym dużo odniesień źródłowych, pozwalających szczególnie zainteresowanym danym tematem sięgnąć nieco głębiej, dowiedzieć się więcej. Całość bogato ilustrowana rysunkami i fotografiami.

Trudno znaleźć na rynku wydawniczym publikację, które w tak kompleksowy sposób opisywałyby sytuację sudeckich uzdrowisk po II wojnie światowej, a jednocześnie stanowiłyby tak barwny i interesujący opis uzdrowskiej codzienności. Świetna lektura i dla tych, którzy kurortom przyglądają się z naukowej perspektywy, i tych, co czynią to w ramach hobbyistycznej pasji. [JK]

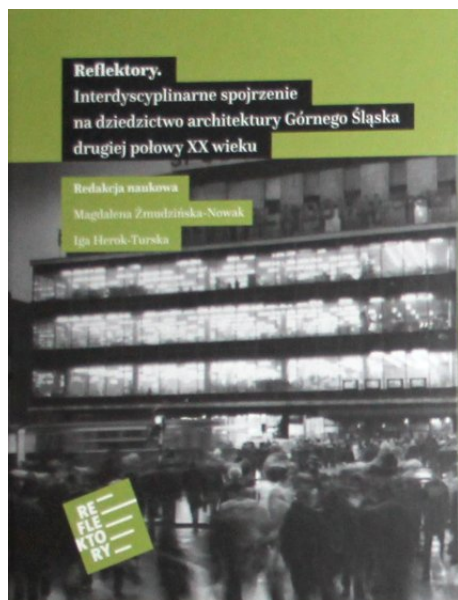


Czy wiesz, że...

koło Bolkowa istniało kiedyś uzdrowisko, a plany wznowienia działalności Bolków-Zdrój pojawiały się nawet w XXI wieku?

Bolków-Zdrój, dawne Bad Wiesau, to przysiółek dzisiejszej wsi Stare Rochowice w gminie Bolków. Istniało tu ujęcie wody mineralnej nazywane najpierw Łąkowy Zdrój, a potem Źródło Jadwigi. W okresie PRL zamierzano tu uruchomić ponownie uzdrowisko, którego wcześniejszą działalność przerwała II wojna światowa. Mimo wykonania w latach 60. kilku odwiertów wód mineralnych do uruchomienie źródła nie doszło. Do sprawy powrócono w XXI wieku, zapisując powstanie uzdrowiska w *Programie Rozwoju Turystyki Województwa Dolnośląskiego na lata 2007–2013*. Niestety do dziś nie znalazł się inwestor chętny do zagospodarowania tego terenu.

[wg/fot. autor nieznany, pocz. XX wieku]



(red) Magdalena Żmudzińska-Nowak, Iga Herok-Turska

**Reflektory.
Interdyscyplinarne
spojrzenie na dziedzictwo
architektury Górnego Śląska
drugiej połowy XX wieku**

Biblioteka Śląska 2017

ISBN: 978-83-64210-49-5

287 stron, 177x218 mm

oprawa półtwarda

Wrocławskie Muzeum Architektury od pewnego już czasu zachęca nas do poznawania otaczającego nas świata przez pryzmat budynków, budowli i innych form przestrzennych nie tylko poprzez organizację wystaw, ale i zapraszając na różnego rodzaju odczyty, wykłady i dyskusje. Gromadzą one miłośników architektury, znawców tematu, ale i zupełnych laików, dla których takie spotkanie jest okazją do zdobycia interesującej wiedzy na temat rzeczywistości, w której przyszło im żyć. Wiele jest tematów wrocławskich, zdarzają się jednak i takie spoza Wrocławia.

W lutym na przykład odbyło się spotkanie poświęcone najpopularniejszemu obiektom architektonicznym Katowic II połowy XX wieku, podczas którego omawiano interdyscyplinarny projekt badawczy związany z górnośląskim dziedzictwem architektonicznym tego okresu. W ramach spotkania można było otrzymać wstępny tom serii publikacji, jakie ukażą się w związku z realizacją badań. Seria – cykl monograficzny – nosi tytuł „reflektory”, gdyż, jak wyjaśniają Autorzy, „kolejne tomy oświetlać będą różnorodne problemy i poszczególne postacie mistrzów architektury” (s. 12).



Pierwszy tom serii ma charakter przeglądowy, syntetyzujący całość zagadnień związanych z powojenną architekturą Górnego Śląska. Wśród autorów znaleźli się naukowcy, dziennikarka – pomysłodawczyni projektu i fotografa, zaś w treści umieszczono teksty z zakresu historii sztuki, architektury i urbanistyki, ogólny rys historyczny oraz opisy życia codziennego w czasach PRL. Całość wieńczy prezentacja wyników „Złotej Dziesiątki” wraz z wybranymi cytataми z wypowiedzi osób, które brały udział w plebiscycie.

Rozważaniom o publikacji, pracy nad nią i zamierzeniami twórców towarzyszyła wystawa owej złotej dziesiątki (nie zdradzimy, co wygrało, choć pewnie się domyślacie). Wiemy, że będą kolejne śląskie miasta, kolejni śląscy architekci i ich dzieła. Ciekawe, która modernistyczna budowla z lat powojennych zdobyłaby największe uznanie w stolicy Dolnego Śląska?

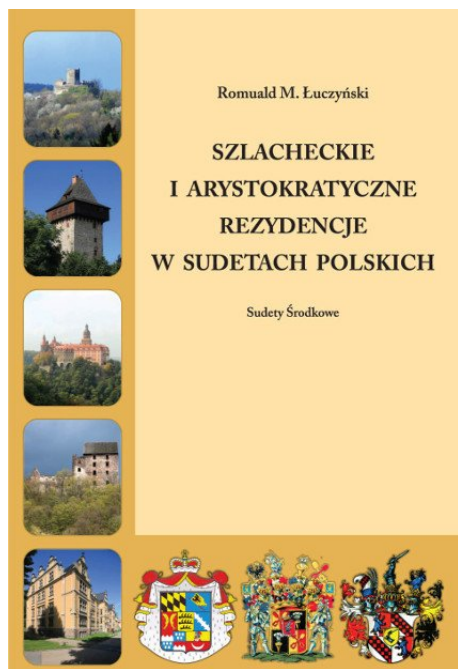
Jeśli macie czasami wolne popołudnie (najczęściej czwartkowe, bo spotkania odbywają się zwykle w czwartki), zajrzyjcie do Muzeum Architektury na ciekawy wykład niezwykle połączony z oprowadzaniem po wystawie. [JK]



Czy wiesz, że...

wrocławski "Trzonolinowiec" to jeden z niewielu tego typu bloków w Europie? Powstał w latach 60. XX wieku wg projektu Andrzeja Skorupy i Jacka Burzyńskiego. Jego konstrukcja oparta jest na żelbetowym trzonie, na którym zawieszone na stalowych linach są stropy poszczególnych pięter. Najniższe piętro zawieszone jest nad niezabudowanym parterem. Budynek - jak każdy prototyp - posiadał wiele usterek. Już w 10 lat po wybudowaniu zdecydowano się na wzmocnienie konstrukcji stalowymi słupami na parterze. Mieszkania w latach 70. otrzymywali tu wrocławscy artyści. Wśród najbardziej znanych mieszkańców Trzonolinowca wymienia się Bogusława Lindę czy Krzysztofa Globisza.

[wg/fot. Piotr Karpiewski, 20.07.2003, cc-by]



Romuald M. Łuczyński

Szlacheckie i arystokratyczne rezydencje w Sudetach Polskich. Sudety Środkowe

Wyd. Kartograficzne Eko-Graf 2018

ISBN: 978-83-65828-19-4

304 stron, 167x237 mm

oprawa twarda

O tym, że na Dolnym Śląsku znajduje się wiele obiektów rezydencjonalnych, wie każdy, kto choć raz miał okazję przejeżdżać przez miasta i miasteczka regionu. Czy jednak zdajemy sobie sprawę z tego, jak wiele ich jest? Jeśli umknęła Wam gdzieś ta informacja, R. Łuczyński przypomina o kulturowym dziedzictwie tych ziem.

Sudety obfitują nie tylko w piękne krajobrazy, ale i w zabytki architektury. Szczególnie dużo stosunkowo dobrze zachowanych znajdziemy w Sudetach Środkowych – będą to obiekty budowane od średniowiecza po wiek XX zlokalizowane w m.in. Kotlinie Kamiennogórskiej, Górach Sowich i Kotlinie Kłodzkiej. Jak wskazuje Autor – historycznie jest to teren Dolnego Śląska i ziemi kłodzkiej do 1742 roku. należącej do Królestwa Czeskiego.

Mamy zatem znane turystom i mieszkańcom, chętnie odwiedzane takie obiekty, jak Bolków, Książ czy Zagórze Śląskie, ale także te, do których turyści nie zaglądają często, np. z uwagi na fakt, że obiekt nie jest udostępniony do zwiedzania (jak np. pałac w Rościszowie czy pałac w Mokreszowie) lub po prostu już nie istnieje (jak np. Słupiec).

Wiele budowli, mimo że możliwych do obejrzenia tylko z zewnątrz,



stanowi naprawdę interesujące zabytki i warto zapoznać się z ich – często burzliwą – historią. Ponadto Autor umieścił w publikacji zdjęcia tych niedostępnych na co dzień wewnątrz, co czyni ją jeszcze bardziej interesującą, pozwala bowiem zajrzeć do środka obiektów zamkniętych przed osobami z zewnątrz.

Poszczególnym obiektom poświęcone zostały odrębne fragmenty publikacji. Każdy z fragmentów zawiera historyczny opis danej budowli od momentu powstania po czasy współczesne, położenie na mapie, współrzędne GPS oraz informacje o (ewentualnym) udostępnieniu obiektu dla zwiedzających. Każdy fragment jest też bogato ilustrowany fotografiami oraz rysunkami herbów.

Łatwa w odbiorze, czytelnie skonstruowana publikacja, przypominająca formą przewodnik spotka się na pewno z zainteresowaniem pasjonatów regionu oraz wszystkich, którzy dopiero będą chcieli zacząć go poznawać. Wyczerpująca bibliografia natomiast pozwoli zorientować się dokładnie w temacie wszystkim, którzy będą chcieli przyjrzeć się wybranym obiektom bardziej, sięgnąć głębiej do opisuujących je źródeł i być może rozszerzyć posiadane wiadomości. [JK]

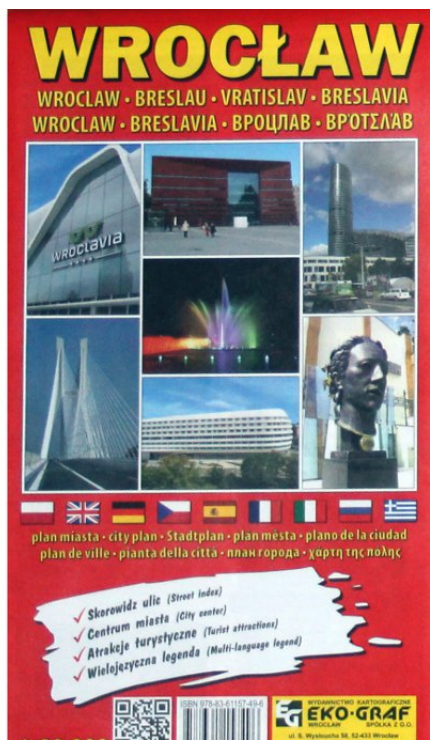


Czy wiesz, że...

stojące obecnie w Parku Szczytnickim we Wrocławiu popiersie Schillera jest kopią przedwojennego pomnika?

Pomnik Schillera w Breslau odsłonięto w setną rocznicę jego śmierci - 9 maja 1909 roku - z inicjatywy wrocławskiego Schillerverein (Towarzystwa Schillera). Projekt był dziełem architekta Felixa Henry'ego, a popiersie - rzeźbiarza Ludwiga Menzla, który wzorował się na dziewiętnastowiecznym dziele Johanna Heinricha Danneckera. Pomnik został zniszczony po 1945. Dzięki Towarzystwu Polsko-Niemieckiej Współpracy Kulturalnej "Teatr nad Odrą" pomnik odbudowano i odsłonięto 9 maja 1995. Replikę popiersia wykonał wrocławski rzeźbiarz greckiego pochodzenia, profesor ASP, Christos Mandzios. Na cokole pomnika wykuto fragment "Ody do Radości": "Wszyscy ludzie będą braćmi - Alle Menschen werden Brüder".

[wg/fot. Silesiac, 14.02.2009, cc-by-sa]



Wrocław

Wyd. Kartograficzne Eko-Graf 2018

ISBN: 978-83-61157-49-6

1080x840 mm, po złożeniu 120x210 mm

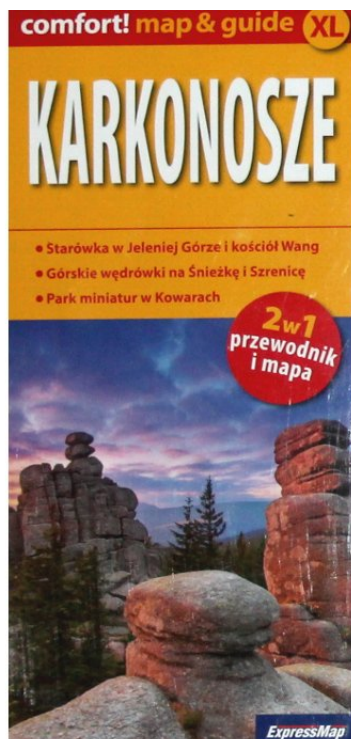
skala 1:20 000

Przewodniki połączone z mapami z serii „comfort map & guide” to zawsze trafiony i przydatny zakup. Nawet w przypadku miasta tak często opisywanego, tak często znajdującego swoje miejsce w różnych przewodnikach po Polsce i Europie, jak Wrocław.

Z tego właśnie powodu polecamy Wam przewodnik z mapą Wrocławia, w którym poza opisem najważniejszych ulic, ciekawych (i czasami kontrowersyjnych) miejsc i zabytków, znajdziecie mnóstwo informacji praktycznych oraz przydatne kalendarium, dzięki któremu planować przyjazd do Wrocławia można kierując się m.in. cyklicznymi imprezami w danym okresie odbywającymi się w mieście. Może będzie to kwietniowy Jazz nad Odrą, a może przypadaający zawsze na wrzesień festiwal Wratislavia Cantans?

Po całym przewodniku spacerując krasnoludki, uroczy (choć czasami już nieco męczący) swoisty symbol Wrocławia.

Jak w przypadku każdej mapy z tej serii, tak i tutaj zastosowano bardzo praktyczne rozwiązanie techniczne, dzięki któremu mapę można swobodnie zaginać bez obawy przecięcia w miejscach zagięć. [JK]



Karkonosze

Wydawnictwo Express Map 2017

ISBN: 978-83-7546-708-6

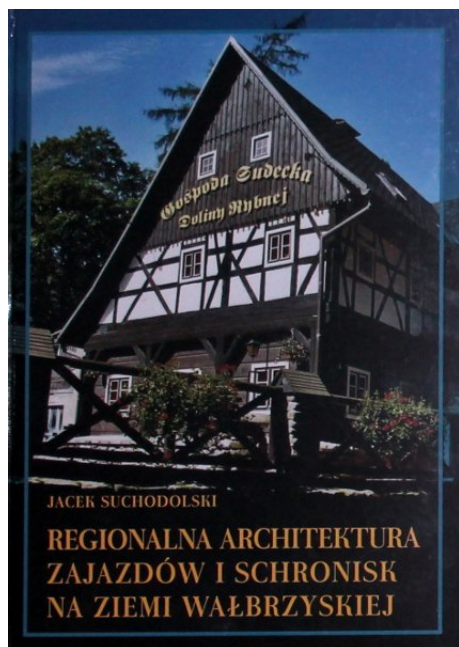
880x420 mm, po złożeniu 97x208 mm
laminowana, skala 1:200 000/1:60 000

Przewodniki połączone z mapami z serii „comfort map & guide” to zawsze trafiony i przydatny zakup. Nawet w przypadku miasta tak często opisywanego, tak często znajdującego swoje miejsce w różnych przewodnikach po Polsce i Europie, jak Wrocław.

Z tego właśnie powodu polecamy Wam przewodnik z mapą Wrocławia, w którym poza opisem najważniejszych ulic, ciekawych (i czasami kontrowersyjnych) miejsc i zabytków, znajdziecie mnóstwo informacji praktycznych oraz przydatne kalendarium, dzięki któremu planować przyjazd do Wrocławia można kierując się m.in. cyklicznymi imprezami w danym okresie odbywającymi się w mieście. Może będzie to kwietniowy Jazz nad Odrą, a może przypadający zawsze na wrzesień festiwal Wratislavia Cantans?

Po całym przewodniku spacerują krasnoludki, uroczy (choć czasami już nieco męczący) swoisty symbol Wrocławia.

Jak w przypadku każdej mapy z tej serii, tak i tutaj zastosowano bardzo praktyczne rozwiązanie techniczne, dzięki któremu mapę można swobodnie zaginać bez obawy przetarcia w miejscach zagięć. [JK]



Jacek Suchodolski

Regionalna architektura zajazdów i schronisk na Ziemi Wałbrzyskiej

Oficyna Wydawnicza Politechniki
Wrocławskiej 2011

ISBN: 978-83-7493-590-6

190 stron, 210x300 mm

oprawa twarda

Po co nam schroniska i zajazdy? Przede wszystkim po to, by w podróży, podczas wycieczek i wypraw dać schronienie i zaoferować posiłek, a w razie niepogody – miejsce na przeczekanie burzy, deszczu czy śnieży. Z tego też powodu są zwykle traktowane instrumentalnie, jako jeden z elementów koniecznych wycieczki, umożliwiający swobodne poznawanie atrakcji turystycznych. A jeśli tak naprawdę schroniska i zajazdy same byśmy w kategoriach takiej atrakcji ujęli?

Okazuje się, że te budowle mogą stanowić interesujące obiekty, warte naszej uwagi nie tylko wtedy, gdy szukamy noclegu. Tym zaś, co w schroniskach i zajazdach najciekawsze, jest ich architektura, o czym przekonuje Jacek Suchodolski w swojej publikacji poświęconej właśnie architekturze zajazdów i schronisk na ziemi wałbrzyskiej.

Tym, co podkreśla, jest regionalny charakter architektury tego typu obiektów. Jak pisze w początkowych zdaniach, pomimo silnie rozwiniętego od drugiej połowy XIX wieku w regionie wałbrzyskim przemysłu, „istniała tu swoista równowaga między jego nieprzyjazną sferą a formą wypoczynku, jaką jest turystyka, której istot-



nym elementem była rozbudowana sieć schronisk, zajazdów i karczm, często o ciekawej regionalnej formie drewnianej architektury.”

Publikację rozpoczyna Wstęp, w którym Autor charakteryzuje stan dotychczasowych badań nad przedmiotem swoich rozważań oraz w paru słowach opisuje położenie i ukształtowanie terenu regionu wałbrzyskiego. Jako następny umieszczony został rys historyczny obszaru, w dalszej zaś kolejności informacje o rozwoju turystyki z uwzględnieniem czasów najnowszych. Opis poszczególnych obiektów poprzedza fragment poświęcony architekturze regionalnej na ziemi wałbrzyskiej.

Wśród opisywanych budynków znajdziemy zarówno te, które jeszcze istnieją (np. Golfhaus w Parku Zdrojowym im. Henryka Wieniawskiego w Szczawnie-Zdroju, dzisiejsza gospoda „Słoneczna Polana”), jak i te, po których już praktycznie nie ma śladu (np. Tannengrundbaude w dzisiejszej wsi Błażejów koło Chełmska Śląskiego). Najstarszy zachowany do dzisiaj obiekt to dawna karczma sądowa z ro-

ku 1578 (znajduje się w Chwaliszowie), którą Autor zalicza do „malejącej stale grupy budynków regionalnych w Sudetach o szczególnym znaczeniu.” W treści publikacji przebija apel o ratunek dla tego dziedzictwa kulturowego, a jednocześnie żal za wszystkim tym, czego uratować się już nie dało.

Uzupełnieniem słowa pisanego są ilustracje wykonane ręką Autora, wśród nich zaś przede wszystkim zdjęcia, ale i rysunki - szkice konstrukcyjne. Na samym końcu umieszczony został spis zajazdów i schronisk, a ich zlokalizowanie możliwe jest dzięki załączonej do publikacji szczegółowej mapie.

Książka jest publikacją naukową i jako taka operuje naukowym aparatem. Mamy zatem wewnątrz przypisy, bibliografię i wyjaśnienie podstawowych terminów. Mimo to czyta się ją swobodnie, niemal jak przewodnik. Z tego też względu przyda się zarówno naukowcom i badaczom, jak i turystom, którzy będą chcieli odbyć wycieczkę po dawnych i obecnych schroniskach ziemi wałbrzyskiej. [JK]

Za wsparcie w przygotowaniu tego wydania dziękujemy:



Muzeum Papiernictwa
w Dusznikach-Zdroju



reprezentacja

Muzeum Dawnego Księstwa
w Świdnicy



Jedziesz na wycieczkę?

 tweetnij do nas!
[@przystanekd](https://twitter.com/przystanekd)



45WE-019 jako pociąg specjalny Kolei Dolnośląskich
na stacji Wrocław Wojnow / fot. Wojciech Głodek